№ 8 Warszawa, dnia 9 (21) Lutego roku 1880

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3.c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

ISKRA.

Komedya w jednym Akcie

PRZEZ

Edwarda Pailleron.

Przedstawiona na benefisie p Modrzejewskiej dnia 15 Lutego 1880 r.

przekład J. B.

OSOBY:

Raul de Géran 27 lat.
Alina de Rénat 27 lat.
Antosia 18 lat.

Ogród; na lewo na pierwszym planie dom, na drugim kępy drzew. W głębi park. Stół, krzesła i fotele ogrodowe.

Scena pierwsza.

(W głębi chodzi Raul niespokojnym przyśpieszonym krokiem i zdaje się bardzo zajęty, pani de Rénat siedzi na przodzie sceny zajęta kolorowym haftem na atłasie, po chwili przestaje i patrzy na Raula).

Pani de Rénat. Raulu!... Raulu!...

Raul (zatrzymując się). Wujenko?

P. de Rénat. Cóż tak biegasz zamyślony? czy wiersze układasz?

Raul. Ależ... ja...

P. de Rénat. I to ma się uważać że przyjechałeś mnie odwiedzić?...

Raul. Przebacz mi... ale...

P. de Rénat. Czy tylko pewny jesteś że znajdujesz się w Chatenay?

Raul. Jakto?... przecież...

P. de Rénat. Bo zdaje mi się że najlepsza cząstka twej istoty, to jest serce twoje, pozostało w garnizonie.

Raul. Och! przysięgam!

P. de Rénat. Nie przysięgaj! panie Zapałko, jak cię nazywał biedny mój jenerał, wyraźnie serce twoje jest znów zaatakowane; zaczynają się objawiać zwykłe symptomata: roztargnienie, zamyślanie się, milczenie i westchnienia... Dalej zaniedbujesz ulubione polowanie, tracisz apetyt, jesteś rozdrażniony i smutny... Nie zapieraj się kochany kapitanie, jesteś zakochany... i to już trzeci raz w tym roku, a mamy dopiero październik.

Raul. A gdyby tak było?

P. de Rénat. Ależ tak jest... No, czekam zwierzenia.

Raul (z ogniem). A więc tak! wyznaję, kocham! kocham szalenie... kocham jak nigdy jeszcze nie kochałem

P. de Rénat (spokojnie). Chwileczkę, tylko zajmę wygodne stanowisko abym swobodnie mogła rozkoszować się szczegółami twego wyznania... Choć co prawda nie jest to znów nic tak nowego, o ile wiem, to ściśle obliczywszy, już to czternasty raz kochasz jak nigdy nie kochałeś... co nie przeszkadza że słucham cię zawsze z nową przyjemnością... No, zaczynaj.

Raul. Ach! wujenko, zawsze wyśmiewasz się z moich zwierzeń.

P. de Rénat. Mój siostrzeńcze bynajmniej nie wyśmiewam się z ciebie... Każda kobieta zawsze z coraz nową przyjemnością słucha dziejów miłości, a cóż dopiero ja, taka parafianka, wdowa, prawie już stara...

Raul (protestując). Ach! cóż znowu!...

P. de Rénat (kłania się lekko dziękując za zaprzeczenie). A potem, co do miłości, to wuj twój, poczciwy mój jenerał, nie przesycił mnie nią bynajmniej... No, słucham cię!

Raul. Zanim zacznę mówić, proszę przyrzecz mi...

P. de Rénat. A! i ja proszę aby przysmaczek jakim mam się delektować był pocukrowany a nie pieprzny, jak owa ostatnia historya z aktorką... A to zgroza!

Raul. Uspokoję cię jednem słowem.. Chcę się żenić!

P. de Rénat. Ależ nie uspakaja mnie to bynajmniej... czy przypominasz sobie ową miss Stove...

Raul Ach! wujenko, jak można porównywać!... sama żałowałabyś tego coś mówiła, gdybyś wiedziała...

P. de Rénat. A! więc rzeczywiście chodzi o poważne jakieś zamiary?...

Raul. A cóż może być poważniejszem od małżeństwa?

P. de Rénat. Jakto, na prawdę chcesz się żenić, ty, Raul de Géran?

Raul. Tak, ja Raul de Géran.

P. de Rénat. Co prawda nie pierwszy to raz ogarnia cię ta chętka.

Raul. Tak, ale tym razem...

P. de Rénat. A!... i z kimże takim?

Raul (siadając). Tylko boję się trochę ciebie wujenko.

P. de Rénat. Aha!...

Raul. Ależ nie! nie!... Źle mnie zrozumiałaś... Jest to najczystsza, najlepsza, najmilsza istota, pełna uroku i niewysłowionego wdzięku. O! tym razem to zupełnie co innego... nie mogę się łudzić bo znam ją oddawna, tak dawno jak poznałem ciebie... Ale czyż wiem jak to uważać będziesz? pod względem miłości jesteś tak mało... tak... no, tak... spokojna, iż przezwałem cię uosobioną rozwagą.

P. de Rénat. Więc ja znam przedmiot twej miłości?

Raul. Tak, a nawet tylko za twoją zgodą mogę ją zaślubić.

P. de Rénat. Raulu, żart ten nie jest ani wesoły ani stosowny.

Raul. Masz tobie! żart... A! więc myślałaś że to... O! nie, nie, wujenko!... dałaś mi taką odprawę kiedym ci się pierwszy raz oświadczył, że nie odważyłbym się powtórnie na podobną narazić... Nie! nie, bądź spokojna... Ach! jakby to powiedzieć... Jest to urocza istota, którą znam tak jak ciebie, wujenko ale której bez twego pozwolenia nie mogę poślubić. Czy nie domyślasz się?...

P. de Rénat. Nic a nic.

Raul. Chcę poślubić twoją faworytkę i wychowankę, śliczną Antosię.

P. de Rénat. Tolkę?

Raul (wstając). Tak, Tolkę. Ukochałem jej wdzięk, młodość, swobodę, wesołość, tę uosobioną wiosnę, tak świeżą i wesołą, i ożenię się z nią jeźli tylko zechce oddać mi swoją rękę... Nic mi nie odpowiadasz?

P. de Rénat (wstając). Odpowiadam, że chyba ci się w głowie przewróciło biedny mój kapitanie.

Raul. A to dlaczego, jeźli łaska?

P. de Renat. Dla czego? dla czego?... Najpierw Tolka jest za młoda.

Raul. Ma lat ośmnaście a ja dwadzieścia siedem, więc zdaje mi się..

P. de Rénat. Nie ma ani szeląga.

Raul. Bah! i ja to samo.

P. de Rénat. Jest to biedna sierota, córka małego dzierżawcy, którą jenerał wychował z litości. Nie należy do naszego świata.

Raul. Ty dałaś jej staranne wychowanie, ja dam jej tytuł i nazwisko, więc posiadać będzie co wstęp do niego otwiera.

P. de Rénat. Raulu, to być nie może, nie myślisz o tem na seryo.

Raul. A! zawsze jedna i ta sama piosenka!... W twoich oczach, zawsze jeszcze jestem uczniem szkoły Saint-Cyr, który kwestował w kościele na twoim ślubie.

P. de Rénat. Tolka twoją żoną!... Eh! to żarty.

Raul. Bynajmniej, dlatego że jestem wesoły, to już niby nie mogę się zdobyć na nic poważnego. Jestem pewny że wujenka myśli że po dziś dzień bawię się rozrzucaniem piorunujących szmermeli na balach weselnych, i nacieram pokrzywami prześcieradła małych moich kolegów.

P. de Rénat Z resztą masz rywala.

Raul. A cóż mi to szkodzi skoro Antosia go nie kocha?... wiem przecie że nie kocha nikogo prócz ciebie.

P. de Rénat. Jest to notaryusz.

Raul. O! to źle.

P. de Rénat. Nazywa się Cravate. (Krawat).

Raul (śmiejąc się), No, to już nie tak niebezpieczny.

P. de Rénat (siadając). I kiedyż to powstał w twej głowie tak genialny pomysł?

Raul. Od miesiąca, kiedy przyjechawszy tu ujrzałem jak pięknie się rozwinęła.

P. de Rénat. Aaa!

Raul. No tak... przyznaję że lubię pulchne kształty... To też widok jej objawił mi... (siada).

P. de Rénat. Wybornie... ale spodziewam się że nic jej nie mówiłeś o tem swojem objawieniu.

Raul. A! czyżbym śmiał!... Wystaw sobie, wujenko, w obec niej staję się dziwnie nieśmiały... szaleję za nią, rozum tracę, głupieję...

P. de Rénat. Dość, dość, nie dowódź, gotowam temu uwierzyć.

Raul. Szał mój olbrzymie przybiera rozmiary... wyznam wszystko... miałaś słuszność, wujenko, przed chwilą... układałem wiersze.

P. de Rénat. Dla Tolki?

Raul. Tak, dla tej uroczej dziewicy którą znałem dzieckiem, którą teraz pokochałem, a która ani się tego domyśla, i śmieje się swobodnie ze mnie, śmieje się z siebie samej, śmieje się zawsze i ze wszystkiego. Jest to nieznośne ale i zachwycające, tylko ani sposób powiedzieć jej .. wyznać... To też liczę na ciebie, wujenko, we dwoje, obmyślimy coś wspólnemi siłami; dopomożesz mi, powiesz jej, będziem się starać... Wszak zgadzasz się dopomożesz mi?...

P. de Rénat. Cóż znowu, nie licz na to wcale.

Raul. Jakto, ty, wujenko, która zawsze tak dobra byłaś dla mnie?.. tyle razy wstawiałaś się do jenerała...

P. de Rénat. Aby zapłacił twoje pod-porucznikowskie długi, to zupełnie co innego! Ale zakłócać spokój tego swobodnego dziecka, budzić w jej sercu niemożliwe do urzeczywistnienia nadzieje...

Raul. Niemożliwe nadzieje! Dlaczegóż to?

P. de Rénat. Dlatego że jej nie kochasz... tak nie kochasz wcale. Jest to tylko zwykłe oddziaływanie pobytu na wsi, które się corocznie powtarza Alboż ja cię nie znam?... Jak tylko miesiąc zabawisz na wsi, zaraz chęć ożenienia przychodzi ci do głowy. Jest to reguła bez wyjątku. Przed dwoma laty, chciałeś poślubić miss Stove; w przeszłym roku mnie, w tym roku przyszła kolej na Tolkę, a w przyszłym... a! nie wiem już na kogo przyjdzie!... Nie miej mi więc za złe że nie życzę sobie bynajmniej dopomagać do twoich zachciewek sielankowych... i powiem prawdę, bardzo niestosownych.

Raul (wstaje z pewnem ożywieniem). Niestosownych? Pod jakim względem? pod jakim?... pod jakim? pod jakim?...

P. de Rénat (także wstaje z ożywieniem). Pod każdym! pod każdym! pod każdym!...

Raul. O nieba! uspokój się, wujenko!

P. de Rénat (siadając). Ja się mam uspokoić! Myślę że nie jesteś tak zarozumiałym abyś przypuszczał, że mogą mnie zaniepokoić brednie jakie mi wypowiadasz?

Raul. Mógłżebym przypuszczać że cokolwiek może wzruszyć lub zaniepokoić, ciebie, rozwagę uosobioną!... O! nigdy! Od lat ośmiu jak cię poznałem, raz jeden tylko dostrzegłem w tobie wzruszenie, ma się rozumieć co się mnie tyczy, raz, w roku zeszłym, w dzień mego pojedynku... a i to jeszcze pewnie zdawało mi się tylko. I wtenczas to przyszła mi świetna myśl oświadczenia się o twoją rękę... A! dopieroż to nadrwiłaś się ze mnie, wujenko! ah! ah! ah!... No, ale przyznaję że miałaś słuszność, to też nie protestowałem przeciw wydanemu wyrokowi... Ale tym razem, o! to zupełnie, zupełnie co innego, i jeźli tylko nie masz jakich osobistych powodów...

P. de Rénat. Osobistych?... skądże znów...

Raul. No, bo rzeczywiście nie możesz przedstawić żadnej słusznej przeszkody. Antosia jest śliczna, żywa, wesoła... nieco .. za szczera, no, i ja to samo!... także nieco... nie dość zastanawiająca się, nie dość poważna... zupełnie jak ja... przynajmniej powtórzyłaś mi to już tyle razy... A zatem, jeźli tylko zechce, ożenię się z nią! I to na seryo powtarzam, na seryo.

P. de Rénat. A więc żeń się z nią, żeń się, przyjacielu!... ja sama mówię, żeń się z Antosią.

Raul. Więc dopomożesz mi?

P. de Rénat. A jakże!

Raul. Przedstawisz jej?

P. de Rénat. Czemuż nie.

Raul. I zrobisz..

P. de Rénat. Wszystko co tylko zechcesz. Czy jesteś zadowolniony?... Tolka... ale ona nawet nie jest ładna.

Raul. Ach! wujenko, ona jest więcej niż... (daje się słyszeć na przemian wybuch śmiechu i szczekanie). A! otóż i ona! czy słyszysz ten śmiech?

P. de Rénat. Słyszę także i szczekanie. No, doprawdy, dla lubiącego układać wiersze nie bardzo to jakoś poetyczne.

Raul. Może, ale za to cóż to za proza!

Scena druga.

Ciż, Antosia, (śmieje się i mówi za sceną).

Antosia. Medor! Medor! będziesz ty cicho!... ha! ha! ha!... Dobrze, do wieczora; a strzeż się pan żeby cię nie ugryzł! Medor! czy słyszysz?... ha! ha! ha! Do wieczora panie Cravate! ha! ha! ha!...

P. de Rénat. Antosiu, czy rozum tracisz?

Antosia. Przebacz, droga opiekunko, ale to...ach! pan Raul!... To, ha! ha! ha! to pan Cravate wystawcie sobie tylko, a potem Medor, ha! ha! ha! pozwólcie mi się naśmiać, to tak miło! (rzuca się na krzesło).

P. de Renat. Z czegoż ty się tak śmiejesz?

Antosia. Ale oświadczył mi się...

P. de Rénat. Kto?

Antosia. Notaryusz.

P. de Rénat. Pan Cravate?

Antosia. A tak, w ogrodzie, pod gołem niebem! ha! ha! ha! Wracałam od Pawłowej, spełniwszy twoje polecenie, i spotkałam się z nim przy płocie... ha! ha! wysiadł zaraz z powozu i zaczął iść obok mnie. Rozpowiadał mi różne różności o swoim wieku, swojej kancelaryi, majątku... a mówił to takim słodziutkim głosem i takie jakieś dziwne miał oczy... ha! ha! ha! taki poważny człowiek!... to też był tak śmieszny! śmieszny!... ha! ha! ha! Aż nagle, z tego ni z owego, nazwał mnie ślicznem uroczem dzieckiem, i wziął mnie za rękę, wtedy Medor bardzo się rozgniewał, a ja wybuchnęłam głośnym śmiechem... Co to był za tercet!... pies szczekał pan notaryusz gruchał czule, a ja zanosiłam się od śmiechu! ha! ha! ha! „Panno Antonino, zaufaj mojemu nieograniczonemu przywiązaniu, hum! hum! hum! kancelarya moja przynosi mi rok rocznie 15,000 fr. dochodu, o! chciej zostać moją dozgonną towarzyszką, ozdobą mego życia, hum! hum! hum!... Chciej obwarować moje nadzieje... przedstawię jak najlepsze gwarancye... O! pani!... hum! hum! hum! ha! ha! ha! Jakże to śmieszne było to oświadczenie z akompaniamentem szczekania! ha! ha! ha!

P. de Rénat. Nie masz się z czego śmiać, pan Cravate stanowi dla ciebie bardzo dobrą partyą.

Raul. Krawat!... ależ to nie jest żadna partya, to część garderoby.

Antosia. Ha! ha! ha!

P. de Rénat. Jest to człowiek młody.

Raul. Nie jest to wcale młody człowiek tylko notaryusz.

P. de Renat. Zawsze byłby to mąż...

Antosia. To nie mąż tylko wdowiec!... Iść za wdowca! a! to zgroza!...

P. de Renat. Antosiu!

Antosia Pewnie powiedziałam jaką niedorzeczność?

P. de Rénat. Pamiętaj o tem że nie jesteś już dzieckiem.

Antosia Oho! mówisz do mnie jakoś uroczyście, nie nazywasz mnie Tolką, pewnie gniewasz się na mnie i nie kochasz mnie już.

P. de Rénat. Wiesz dobrze że cię kocham i nadużywasz mego przywiązania.

Antosia. Nie chcę nadużywać, pozwól mi tylko używać. (chce ją uściskać).

P. de Rénat. Jakieś ty dziecko, dajże mi pokój.

Antosia. Pozwól mi tylko droga opiekunko, przy-

tulić się do mego kącika, tak mi tu miło! (ściska ją i opiera głowę na jej piersiach).

P. de Rénat. Ach! szalony dzieciaku!

Antosia. Nie, droga moja mateczko, nie mogę zostać panią Cravate, panią notaryuszową, to za poważne dla mnie... zastanów się tylko, a sama to przyznasz... No, powiedz czy chcesz żebym koniecznie obwarowała jego nadzieję, czy koniecznie obstajesz za tem?... Aha! śmiejesz się! tak, tak, rozśmiała się, tak, tak... wszak prawda panie Raulu?... Ach! ale zapominam...

P. de Renat. O czem?

Antosia. O twojem poleceniu do Pawłowej... ach, taka jestem rozrucona!

P. de Rénat. Dobrze, później mi powiesz...

Antosia. A! dlatego żeby pan Raul nie słyszał! I cóż to szkodzi? On i tak wie że jesteś dobra i miłosierna, wszak prawda panie Raulu?... a widzisz! mateczko, i on wie i wszyscy, to też i ja i on i wszyscy cię kochają... A więc powiem, powiem!...

Raul. Więc cóż Pawłowa?...

Antosia. Ach! taka uszczęśliwiona... co mi nie nagadała... Przyjdzie jutro... siedziała sama ze swoim malcem, ach! jakże to smutny widok kobieta i dziecko w żałobnych szatach, w pokoju o nagich ścianach... A i ja tak byłam kiedyś, droga ukochana mateczko! (ściska panią de Rénat) Przyjdzie jutro o szóstej, a co do malca, śliczny jest jak cherubinek, biały, pulchny, rumiany jak jabłuszko, z wijącemi się blond włoskami, a oczki tak błyszczące jak u kotka... A! przypominam sobie! Pawłowa dała mi list do mateczki. (szuka po kieszeniach) Nie, to obrazki które dostałam, to orzechy... to kołnierzyk który zaczęłam haftować... chusteczka... A! gdzież ten list! moje klucze, ha! ha! ha! fotografia drogiej mojej opiekunki... Jaka ona śliczna i blada! ach! żebym to ja mogła być taka blada, dopieroż byłabym kontenta!... ale darmo!... Cóż się z tym listem stało?... Ach! jest... nie! to moje małe lusterko... ha! ha! ha! co ja pocznę?... a! jest przecie!

P. de Rénat. Dajże go... (czyta list).

Raul. Panno Antonino, wszak ta Pawłowa to bardzo biedna kobieta?

Antosia. O tak! jest to wdowa po drwalu który umarł w skutek... jakiegoś wypadku; biedaczka bez grosza... i gdyby nie moja kochana opiekunka...

Raul. Czy pozwolisz mi, panno Antonino, przyjąć udział w tym dobrym uczynku? (daje pieniądze).

Antosia (odmawiając). Och! to za wiele!... a potem może lepiej byłoby zamiast pieniędzy dać jej coś innego, i cobyś pan sam zaniósł... jest to milsze ubogim... A potem, prawdziwe miłosierdzie nie na daniu pieniędzy tylko się zasadza, trzeba jeszcze dać je z współczuciem, tak nauczyła mnie droga moja opiekunka... Zobaczyłbyś pan zaraz małego cherubinka... ach! żebym to ja mogła mieć takiego!...

P. de Renat. Antosiu!

Antosia. Nowa niedorzeczność!... wypowiadam co mi tylko przyjdzie do głowy... sama nie wiem co mi jest... ale doprawdy bywają chwile w których zdaje się że mi się w głowie przewróciło!... ha!ha! ha! (słychać szczekanie). Cóż tam znowu? Medor!... czego szczekasz?... Medor!... Nie bój się, mateczko, każę go przywiązać... Medor! czy i ty szalejesz?... A! to ten pan Cravate tak oddziaływa na nas oboje!

P. de Renat. Tolko!

Antosia. Masz tobie! trzecia niedorzeczność!... a! to już nadto! uciekam!... Medor! tu! Medor!...

(Wybiega prędko).

Scena trzecia.

Pani de Rénat, Raul.

Raul (z uniesieniem). Promień słońca na bezchmurnem niebie! anioł niewinności i naiwności!... i mówisz że nie kocham tego dziewczęcia!... Ależ ja ją kocham! kocham!...

P. de Renat. Jak nigdy nie kochałeś, to już wiadomo... Więc żeń się z nią!

Raul. Tak, tylko najpierw chciałbym żeby mnie pokochała.

P. de Renat. Cóż to tak wielkiego dla ciebie, tak wytrawnego zdobywcy serc kobiecych!...

Raul. Tak, śmiej się, żartuj ze mnie! Gdyby to zamiast tego wesołego i śmiejącego się dziewczęcia, której otwartość miesza mnie, naiwność onieśmiela, chodziło o kogo innego... o kobietę, zaręczam że nie czułbym się zakłopotanym... Nie wierzysz mi?

P. de Renat. Oh! wierzę na słowo.

Raul. Że ty, wujenko, mnie lekceważysz, to jeszcze nie dozwala wnosić że jestem do niczego.

P. de Renat. A któżby śmiał pomyśleć coś podobnego! tak niezrównany teoretyk!...

Raul. I praktyk także, wierzaj mi, wujenko. Ale sama widzisz że to istne dziecko, które nic nie widzi, nic nie rozumi, niczego się nie domyśla, a więc z nią wszelka strategia do niczego nie prowadzi... Chciejże zrozumieć że ona jeszcze... że nie jest... no, nakoniec że nie ma w niej iskry.

P. de Renat. A toż znów co?

Raul. Iskra?... Nie mieć iskry to znaczy że młoda dziewczyna a nawet młoda kobieta nie czuje jeszcze w sobie... eh! nie tak... Czy zna wujenka machinę elektryczną?

P. de Renat. No, zrobiona jest z drzewa...

Raul. I z metalu, z dodatkiem krążka szklannego obracanego korbą... Dopóki nie zakręcić korby można przyglądać się, badać, dotykać, nic nie czuć, są to po prosta kawałki drzewa i metalu... ale niech tylko ktoś zbliży się i wprawi w ruch krążek, a w tejże chwili wytryśnie z trzaskiem niebieskawa błyskawica. Jest to, nie wiem jak to powiedzieć... coś nie dającego się wytłomaczyć, jest to dusza tego przedmiotu, słowem, jest to iskra! Jeźli wolno powiedzieć prawdę, wy, kobiety, wszystkie jesteście z natury jak ów zimny metal i nieczułe drzewo... ale niech tylko pewnego pięknego poranku, miłość, próżność, współczucie, a choćby nienawiść... poezya lub sama nawet natura wprawi w ruch krążek a wnet objawi się ciekawość, niepokój, żądza, miłość! i oto mamy iskrę!... Otóż, wujenko, Antosi brak jeszcze iskry!

P. de Rénat. Zakręć korbą, mój siostrzeńcze.

Raul. Czy sądzisz że nie probowałem? Ale iskra nie wytrysła... a któż wie, może i nigdy nie wytryśnie?... Wszak bywają kobiety u których nigdy się nie objawia... Ot, naprzykład u ciebie, wujenko, która jesteś uosobionym rozsądkiem i rozwagą..

P. de Renat. Ach! proszę mówmy o Antosi.

Raul. Jakim sposobem wzbudzić w niej iskrę? do jakich uciec się środków?... Hum, nienawiść?... tej nie można wywołać na żądanie!... Hojność? widziałaś sama przed chwilą że mi się na nic nie zdała...

P. de Renat (wzruszając ramionami). Sprobuj współczucia.

Raul. Ach! wujenko!...

P. de Renat. Pozostaje jeszcze poezya... wreszcie natura!...

Raul. Eh! zamiast żartować i szydzić, lepiej byłoby pomódz mi w wyszukaniu sposobu, boć przecie zawsze można znaleźć jakiś dozwalający nam pozyskać miłość kobiety.

P. de Rénat. Tak sądzisz?

Raul. Oh! byle nie chodziło o ciebie!... nie ma sposobu pozyskania twego serca, a przynajmniej ja daremnie go szukałem... Ale co innego Antosia, o! co do niej musi być sposób, i znajdę go! znajdę niezawodnie!... a wtedy dopomożesz mi wujenko, wszak zgoda?

P. de Renat. Zgoda! zgoda!

Raul. A więc, jeźli wujenka nie ma jakichś szczególnych, osobistych powodów...

P. de Renat (wstając). Jakież znowu mogłabym mieć szczególne, osobiste powody? Ach! nudzisz mnie nareszcie!

Raul (wstając). Więc mi dopomagasz?

P. de Renat. Wszak obiecałam już.

Raul. Liczę więc na to.

Scena czwarta.

Ciż, Antosią.

Antosia (wchodząc z głębi). Ksiądz proboszcz przyszedł i pragnie pomówić z tobą, droga opiekunko. Zapytywałam się go co ma za interes... rozśmiał się tylko i nazwał mnie ciekawą, ale nic powiedzieć nie chciał. Poprosiłam go do salonu...

P. de Renat. Dobrze, idę do niego.

Raul. Ale wracaj prędko.

P. de Renat. (do Raula cicho, śmiejąc się). Ach! jakąż zabawną masz minę!

Raul (cicho). Powiedziałem już że ona mnie onieśmiela.

P. de Renat (cicho). Uciecz się do poezyi.

Raul (cicho). Ach! wujenko.

P. de Renat (cicho). No, a natura?

Raul (z gniewem). Ach!

(d. n.)

Z GOETEGO.

Zbliżacie się znowu powiewne postacie,
Co niegdy się snuły przed wzrokiem mej duszy...
Czy zdołam was dzisiaj pochwycić w tej szacie?
Czyż serce me znowu marzeniem się wzruszy?...
Wciskacie się .. Zgoda... Uchylam więc czoło,
Gdy poczet wasz mglisty otacza mnie w koło...
Pierś moją przenika już zachwyt młodzieńczy,
Co duszę upaja, gdy polot wasz dźwięczy...

I widzę dni lepszych wesołe obrazy:
Unoszą się cienie mych blizkich i drogich..
Jak Sagi zamierzchłej półbrzmiące wyrazy,
Odzywa się miłość i przyjaźń lat błogich...
I cierpię nanowo... a skarga cierpienia,
Zawiłej przeszłości podnosząc wspomnienia,
Nazywa mi drogich, co szczęściem złudzeni,
Po chwilach uroczych, gdzieś znikli w przestrzeni...

Nie dla was więc dźwięczą późniejsze me pienia,
O dusze, dla których ja najpierw śpiewałem;
Rozpierzchło się koło przyjaciół natchnienia
I przebrzmiał ten oddźwięk co niegdyś słyszałem...
Dziś w tłumie nieznanym mój jęk się rozprasza,
A obca pochwała mnie nawet zastrasza...
Ci wreszcie, co szczerze spółczują poecie,
Jeżeli i żyją, gdzieś błądzą po świecie...

I znowu pokrywa mnie dawna tęsknota,
Do świata cichego gdzie duchy panują..
I spływa pieśń moja, jak rzewna pieszczota,
Jak z harfy eolskiej jej tony się snują...
Wzruszenie ogarnia, łzy płyną obficie,

Rozrzewnia się serce i mięknie w zachwycie,
I to co posiadam, mnie zda się przeszłością,
A to, co już znikło, jest rzeczywistością...
Dr. Rudolf Rożniatowski.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego
napisana oryginalnie
przez
Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Rozdział VI.

W dobrach Karola Pigrenier, czynione były wielkie przygotowania na przyjęcie pani Lucas, mającej niby przybyć razem z Eugenią.

Przebiegła a ograniczona kobieta, znalazłszy niespodzianie człowieka z głową jeszcze ciaśniejszą od siebie, tumaniła go jak mogła, w chęci utrzymania zawsze w pewnej zależności, jako wedle swego rozumienia, jedynej kotwicy ocalenia.

Tak jak w poprzednich wypadkach, tak i obecnie, nie szła drogą prostą ale krętą, zamiast przybliżać oddalającą ją od zamierzonego celu. Gdyby po stanowczej odmowie Eugenii, opowiedziała była otwarcie Karolowi Pigrenier istotny stan rzeczy, to namiętność trapiąca serce młodzieńca, byłaby go nakłoniła do odrzucania wszelkich innych względów, i poproszenia o rękę ukochanej panienki. Na nieszczęście pani Lucas czyniła mu ciągłe obietnice: najprzód dosyć odległe, ale z upływem czasu, coraz bardziej przybierające piętno pewności. Skoro zaś groźba przez nią uczyniona szukania schronienia w Domu przytułku, zrobiła nader przykre wrażenie na jej zacnej wychowanicy, zobowiązała się uroczyście przyjechać za miesiąc wraz z Eugenią, do mieszkania dla nich przygotowanego. Chcąc jednak przeprowadzić zamiar małżeństwa, wedle drogi przez siebie ułożonej, stawiła odpowiednie warunki.

W dobrach Karola Pigrenier skutkiem nieporozumień familijnych poprzedniego właściciela, zbudowane były dwa pałace, jeden na przeciwko drugiego. Otóż jeden z nich miał być oddanym w posiadanie pani Lucas i jej córki przybranej, gdzie prowadzić miały dom zupełnie oddzielny z odrębną służbą od nich zależną. Nieszczęsnemu wielbicielowi przyznała wprawdzie prawo odwiedzania ich od czasu do czasu, ale tylko w znaczeniu dobrego znajomego i w godzinach naprzód umówionych.

Uradowany młodzieniec przystawał na wszystko ochoczo, wspominając jedynie pokornie i bojaźliwie, o zrobionej dawniej obietnicy, czynienia honorów domu, w razie większego zebrania kawalerskiego. Pani Lucas upewniała stanowczo, że nie pamięta wcale, aby kiedykolwiek była mowa o podobnym warunku; jednakże obiecała pomówić niby z Eugenią, i w dniu następnym udzielić odpowiedź stanowczą.

W istocie jednak potrzebowała namysłu, bo wyobraźnia jej podniecona uległością młodzieńca, zaczęła silnie oddziaływać.

Rozumowanie jej było proste.

Ludzie ją oszukali pozbawiając majątku; pani Lagrange znalazła się nielepiej, bo umarła prędzej aniżeli była powinna; taki zbieg okoliczności, wedle giętkich zasad pani Lucas, opoważniał ją do wyzyskania nawzajem sprzyjającej okoliczności. Nie dość na tem, bo jakkolwiek czuwać miała starannie aby nie zaszło nic złego, ale już sama obecność Eugenii w domu kawalera, a szczególniej czynienie honorów w czasie większych zebrań, mogło rzucić pewien cień na dobrą jej sławę. Nadto gdyby małżeństwo dla jednych lub drugich względów nie przyszło do skutku, to wypadało na nowo rozpocząć obecny żywot nędzy, a ta myśl, rzecz prosta, zastraszała ją nadzwyczajnie. Gotową zatem była przychylić się do prośby Karola Pigrenier, ale pod warunkiem zobowiązania się piśmiennego z jego strony, do wypłacenia dwakroć sto tysięcy franków, z chwilą przybycia ich na mieszkanie do zamku będącego jego własnością.

Na czyje imię miało być zrobione zobowiązanie?

Pytanie to roztrzygnięte było dawno w umyśle pani Lucas. Eugenia mogła umrzeć, a tem samem zostawić ją w drażliwem położeniu. Śmierć zaś jej własna od czasu zmiany losu, była rzeczą nieprawdopodobną, a tem samem dawała zupełną rękojmię swej wychowanicy, że w żadnym razie położenie jej nie będzie zagrożonem.

Zobowiązanie zatem miało być napisanem na imię pani Lucas, aby tem bardziej uwydatnić szlachetność panienki i jej bezinteresowność.

Chociaż zaliczany do milionerów, ale nadzwyczajnie ograniczony kawaler, przystał na wszystko bez wahania. Wedle jego mniemania, nazwisko pani Lucas było tylko pokrywką wyrachowania Eugenii; chcąc więc okazać wspaniałomyślność poczynił z własnego natchnienia rozmaite dodatki. Obok więc wypłacenia dwóchkroć sto tysięcy franków pani Lucas, oddawał w jej posiadania pałac w tym celu przygotowany; miał płacić dwanaście tysięcy franków rocznie na jej utrzymanie aż do śmierci, a nadto wszystkie przedmiota ruchome znajdujące się w pałacu, stawały się jej bezwarunkową własnością.

Zobowiązanie powyższe napisane było ze wszelkiemi formalnościami wymaganemi przez prawo. Nie wręczył jednak dokumentu tyle ważnego pani Lucas, ale zatrzymał przy sobie, bo nie uczyniwszy w nim najmniejszej wzmianki o Eugenii, chciał przedewszystkiem z jej własnych ust usłyszyć obietnicę przyjazdu, będąc pewnym że słowa raz danego dotrzyma jak najściślej.

Pismo jednak wzmiankowane nosił ciągle przy sobie, nie wiedząc kiedy będzie miał ułatwioną rozmowę z Eugenią. Pani Lucas spełnienie [w tej mierze obietnicy, odkładała od dnia do dnia pod najrozmaitszemi pozorami.

Pigrenier wierząc jednak wszystkiemu co mówiła przewrotna kobieta, zajął się przygotowaniem klatki dla tak pięknego ptaszka.

W tej mierze nie szczędził wydatków, a sprowadziwszy z Paryża dwóch najpierwszych tapicerów, wydał im ogólne polecenie: aby urządzenie pałacu było piękne, bogate i wspaniałe; tak aby dwie kobiety, należące nawet do najwyższych warstw społecznych, mogły w nim zamieszkać z przyjemnością.

Dotychczas owe działania dotyczące Eugenii, począwszy od wypadku zaszłego z Wiernym, pokryte były największą tajemnicą przed John Waksfeldem.

Pigrenier z obawy szyderstwa swego przyjaciela, taił przed nim gwałtowne uczucie miłości szarpiące jego serce, a idąc za wzorem młodych paniczów, nadawał mu miano przelotnego upodobania mówiąc zlekka o Eugenii. Niepodobna jednak było ukryć przed Amerykaninem tak kosztownego urządzenia pałacu, stojącego dotychczas pustkami.

Z wielką jednak radością młodzieńca, Waksfeld powziąwszy wiadomość o wszystkiem, wedle zwyczaju czas jakiś zadumany był głęboko, a potem rzekł z powagą:

— Gdybyś był wcześniej wspomniał o swojem powodzeniu, to byłbym urządził pałac oszczędniej, a co ważniejsza lepiej. W tej mierze posiadam wielkie uzdolnienie. Zazdroszczono w Wiedniu księciu Metternichowi apartamentów umeblowanych pod moim przyjacielskim nadzorem. Sam cesarz Franciszek Józef zasięgał rady u mnie, co do niektórych zmian, jakie wypadało przeprowadzić w jego letniem mieszkaniu w Schönbrun.

Stało się i nie ma o czem mówić. Na przyszłość jednak pamiętaj, abyś wszelkie ważniejsze kupna uskuteczniał za mojem pośrednictwem. Co do samej rzeczy, to dobrze robisz rzucając grube pieniądze dla uczczenia twej ukochanej. Wspaniałomyślność tego rodzaju nada ci powagę w świecie eleganckim, bo obecnie w Paryżu podobne wydatki stoją na porządku dziennym. Wiesz co przychodzi mi nawet myśl szczęśliwa; wydamy z tego względu wielkie śniadanie, na które zaprosimy pierwszorzędnych elegantów z Paryża i z okolicy. Pokażemy im przygotowany pałac, ale nie trzeba wymieniać nazwiska przyszłej posiadaczki tylu wspaniałych rzeczy. Niech się domyślają, zaintrygujemy ich; będą o tobie rozmawiać, a to ci nada wielką powagę.

Dla uczczenia dnia, osobiście przygotuję dwie potrawy, jakich żaden z tych paniczów pewno w życiu nie kosztował.

Uszczęśliwiony Pigrenier z odebranych pochwał jako też udzielonej rady, z rozczuleniem uścisnął dłoń Waksfelda nadając mu miano najszczerszego przyjaciela.

Z takiej to przyczyny nazajutrz po nocy opisanej w poprzednim rozdziale, wyprawiona była wielka uczta w pałacu Karola Pigrenier, na którą przybyło kilkudziesięciu paniczów zwabionych nie tyle osobą gospodarza, ile ustaloną sławą jego kuchni i piwnicy.

Wielka sala jadalna, mogąca z łatwością pomieścić dwieście osób przygotowaną była bogato i starannie, pod osobistym nadzorem John Waksfelda.

Ściany przyozdobiono w rozliczne trofea i przyrządy myśliwskie; zastawa stołu była świetna i wspaniała; dobór potraw i win zdolen zaspokoić smak największych łakotnisiów całego świata; usługa liczna, strojna i czynna: szczera przeto wesołość ożywiła wkrótce zgromadzonych, niedoznających najmniejszego kłopotu, bo każdy obecność swą uważał za prawdziwy zaszczyt dla gospodarza.

Waksfeld chcąc ustalić sławę domu, zwracał uwagę na wszystko, a nawet kilkakrotnie wstał od stołu, celem wydania odpowiednich rozporządzeń.

Od połowy śniadania rozmowa stawała się coraz gwarniejszą a właściwym sobie biegiem, skierowaną była ku płci pięknej, będącej od czasu Adama źródłem szczęścia, ale zarazem źródłem ustawicznych utrapień dla całego rodu męzkiego.

Znaczna liczba panien i młodych mężatek stała na porządku dziennym, ulegając surowym krytykom lub zapalonym pochwałom, a najczęściej jednym i drugim, bo obok zawistnych przeciwników stawali zawsze gorliwi obrońcy. Nie ma w tem nic dziwnego, obydwie bowiem połowy rodzaju ludzkiego przy wielu różnicach usposobienia, zarówno ulegają łatwym zmianom upodobań, a nawet i uczuć. Podobna więc rozmowa była nadzwyczajnie zajmującą dla zebranej młodzieży, wskazując im nowe związki przelotne, a niekiedy nawet intrygi miłosne głębszego znaczenia. Śmiechem ogólnym przyjmowano dociuki nieszczęśliwych wielbicieli, mówiących kie-

dyś z uniesieniem o wybranych przez siebie boginiach, a dzisiaj mszczących się złośliwie, z powodu udzielonej im odprawy.

Kilkadziesiąt już panien i mężatek było przedmiotem opisanej rozmowy, gdy niespodzianie rzekł jeden z gości imieniem Henryk.

— Mówiliśmy już o wielu pannach i paniach, a zapomnieliśmy o pierwszorzędnej gwiaździe rodzaju niewieściego. Nie wymawiam nazwiska, bo samo określenie powyższe wskazuje osobę, o której mówię.

— Mówisz o pannie Józefinie Busson, zawołali wszyscy chórem.

— Niewątpliwie. Cóż więc o niej powiecie? zapytał Henryk.

Cisza zupełna była odpowiedzią na uczynione zapytanie. Biesiadnicy uporczywie milczeli, i żaden z nich nie zabrał głosu.

— Pytanie zbyt ogólne wprowadziło was w kłopot, rzekł Henryk, dotknijmy lepiej szczegółów. Otóż jeżeli jest kto w naszem zebraniu, który nie kochał się w pannie Józefinie przynajmniej dni kilka, i da na to słowo honoru, niech wstanie. Uważajcie panowie, dodał Henryk, że siadam szybko na zajmowanem miejscu.

Słowa te wzbudziły śmiech ogólny, biesiadnicy byli jakby przykuci do krzeseł, i żaden nie powstał z zajmowanego miejsca.

— Jakto, nikt nie wstaje? pytał Henryk. Zaiste podobny stan rzeczy wprowadza mnie w osłupienie.

— Ja wstaję, rzekł jeden z młodzieńców imieniem Piotr, nie kochałem się bowiem w pannie Józefinie dni kilka, ale tylko czterdzieści ośm godzin, w tym jednak czasie myślałem że oszaleję.

— Brawo! brawissimo! zawołali wszyscy wśród wesołego śmiechu, oto oznajmienie niespodziane. Niech żyje Piotr!

Wniesiono toast na jego cześć.

— Wszyscy zatem byliśmy wielbicielami panny Józefiny, rzekł Alfred, a tem samem wszyscy bez wyjątku doznaliśmy mniej więcej jawnej odprawy. Jest zatem w tej sali sześćdziesięciu przeciwników a nie ma ani jednego zwolennika. Taki stan rzeczy zniewala nas do pewnej pobłażliwości w sądzie. Pod wpływem tego uczucia wypowiadam moje zdanie. Panna Józefina jest kobietą zimną bez serca, a tem samem niezdolną zupełnie do miłości. Wyjdzie ona za mąż bez najmniejszego przywiązania, aby tylko przyszły jej małżonek posiadał miliony tworzące cyfrę powyżej dziesiątka.

— Zdanie to przyjmuję z pewnem zastrzeżeniem, rzekł drugi, bo ogień błyszczący w jej oczach i niepospolita egzaltacya umysłu, są niewątpliwemi dowodami uczucia, i ktoby zdobył jej serce, to może znalazłby nieobliczone skarby miłości. Na nieszczęście, dodał z westchnieniem, to serce obwarowane jak twierdza, i przystęp do niego niepodobny.

— Mylisz się przyjacielu, odpowiedział Alfred, bo właśnie kobiety z żywemi oczami, egzaltowaną głową, odznaczone dowcipem, powabnością i t. d są podobne do słońca rzucającego swoje promyki na wszystkie przedmioty bez wyjątku, a jak w tym razie na wszystkich mężczyzn powołanych do stanowienia świetnego orszaku, przy tryumfalnym wozie bogini. Serca podobnych kobiet, mówił Alfred z goryczą, podobnemi są do popsutej igiełki magnesowej, nie umiejęcej znaleźć właściwego kierunku a tylko wirującej koło swej osi, w ustawicznych drganiach przelotnych.

— Co do mnie, rzekł trzeci, nie życzyłbym sobie być mężem panny Józefiny, bo uważam za nieznośne położenie skąpca zagrożonego ciągle utratą posiadanego skarbu.

— Jakie jest twoje zdanie Henryku? zawołano nareszcie, jako wnioskodawca powinieneś rozstrzygnąć stawioną zagadkę.

— Chętnie bardzo, odpowiedział zapytany, bo po przejściu szału, jakiemu przez jakiś czas ulegałem, zajmowałem się wielce tym przedmiotem. Mówiąc językiem naukowym, wystudyowałem pannę Józefinę dokładnie. Otóż w jej usposobieniu nie ma nic szczególnego. Jest sobie kobietą zwykłą, tylko zawsze wyższego rzędu. Pragnie wyjść za mąż z miłości, tak jak wszystkie panienki młode odpowiedniego jej wieku. Powiedźcie mi teraz panowie, jakie są wedle was warunki konieczne do wzbudzenia miłości trwałej, zdolnej poprowadzić do ołtarza? Odpowiecie zapewne: młodość, piękność, dobre urodzenie, talenta, cnota, dowcip, rozum i posag.

— Ten ostatni dodatek niekoniecznie, zawołali jedni.

— A, koniecznie, odpowiedzieli drudzy.

— Unikajmy sporów panowie, rzekł Henryk, bo każdy z przymiotów przeze mnie wymienionych, wzięty pojedyńczo wywołałby sprzeczne zdania. Są one jednak ogólnym wyrazem życzeń kawalerów, pragnących się żenić. Uporządkowanie jednak wyrazów podlega nadzwyczajnej rozmaitości. Dla jednego posag trzeba stawić na czele, dla drugiego talent, dla trzeciego piękność. Nie dosyć na tem, bo jedni poprzestają na dwóch warunkach. Drudzy wymagają więcej, a są nawet niedopuszczający najmniejszego braku w ogólnem określeniu, ale tacy po największej części zostają starymi kawalerami.

Uczucia panienek podległe są również pewnym warunkom, często nawet bez świadomości, wedle jakich wybierają dozgonnego przyjaciela. W tej mierze rozmaitość równie bogata, jak i w naszym rodzaju. Jedne są więcej wymagające, drugie mniej, a każda robi właściwą kombinacyą warunków wymaganych do małżeństwa.

Otóż dla wzbudzenia miłości w sercu panny Józefiny, nieodzowne są miliony.

Nie uśmiechajcie się panowie szyderczo, bo insza rzecz wyjść za mąż bez przywiązania dla pieniędzy; a insza rzecz pokochać kogo jak najszczerzej, z powodu posiadanej przez niego fortuny. Panna Józefina nie pokocha nikogo innego, jak tylko szczęśliwego posiadacza kilkunastu milionów. Pokocha go do szaleństwa, zdolną będzie do jak największych ofiar, ale niech jutro jej ulubiony przyprowadzonym będzie do stanu miernego, to odwróci się od niego z odrazą.

— Wywód strasznie subtelny, zawołał Alfred, bo ostatecznie miliony będą podstawą jej uczucia.

— Niewątpliwie odpowiedział Henryk, tak jak dla ciebie naprzykład koniecznym warunkiem jest piękność, dla innego talent lub rozum. Panna Józefina pokocha tylko wielekroć razy milionowego, ale pokochą go szczerze, i z największą radością odda mu swoją rękę.

— W każdym razie stracona dla nas, rzekł inny, bo majątki przez nas posiadane nie sięgają tak wysoko.

W tej chwili zabrał głos August, mający wiele stosunków z Anglikami, jeżdżący często do Anglii, gdzie nabrał nadzwyczajnego upodobania do wszelkiego rodzaju zakładów.

— Panowie! mówił on, cały wywód Henryka trafia nadzwyczajnie do mojego przekonania. Otóż zakładam się o tysiąc luidorów, że wkrótce panna Józefina zakocha się szalenie.

— Nic dziwnego, odpowiedziano mu, jeżeli napotka człowieka, mającego przynajmniej dziesięć milionów majątku.

— Bezwątpienia, ale wchodząc w bliższe szczegóły, utrzymuję, że zakocha się w jednym z właścicieli mieszkających w pobliżu tutejszego zamku.

— To znowu zagadka niemogąca być przedmiotem zakładu.

— Nie przyjmujecie zakładu, mówił smutnie August, to mniejsza z tem, chociaż niewątpliwie byłbym go wygrał. Dobra bowiem Veriéres sprzedane zostały Górskiemu, który po swoim wuju odziedziczył kilkanaście milionów franków.

John Waksfeld siedział dotychczas za stołem w zupełnem milczeniu.

Prowadzona rozmowa nie zajmowała go wiele, a przytem był niezadowolonym, bo goście nie zwracali należytej uwagi na znakomite przyrządzenie potraw. Co gorsza, jedno danie osobiście przez niego przygotowane, przesunęło się nie wywoławszy okrzyku podziwienia. Zagniewany więc patrzył pogardliwie na młodzież, nie mającą najmniejszego wyobrażenia o sztuce kucharskiej.

Wymówione jednak nazwisko Góreckiego, uczyniło na nim szczególne w swoim rodzaju wrażenie. Twarz jego pokryła się żywym rumieńcem, później zbladł, a powstawszy nagle z zajmowanego miejsca, przerwał rozmowę w sposób dosyć niedelikatny.

— Który Górecki kupił dobra Verrieres? czy Stanisław syn Jana, będącego właścicielem dóbr Pokrzywki, leżących przy gościńcu wiodącym z Sandomierza do Opatowa?

Śmiech ogólny był odpowiedzią na uczynione zapytanie.

— Dodaj pan jeszcze, rzekł August wesoło, że w tych dobrach był lasek topolowy, jezioro z pstrągami i łapka na wilki. Widocznie znał pan wybornie obydwóch Góreckich, niepodobna o tem wątpić.

— Gdzież tam odpowiedział Waksfeld wracając do oprzytomnienia. Widywałem wprawdzie starego Góreckiego, ale nie mieliśmy z sobą bliższych stosunków, bo gonił resztkami, a ja od golizny uciekam jak od złego powietrza.

— W takim razie, rzekł August, nie potrzebuje pan stronić od obecnego właściciela dóbr Verriéres, któremu rzeczywiście na imię Stanisław, bo jak to mówiłem, odziedziczył ogromną fortunę po swoim wuju mieszkającym w Ameryce.

— To rzecz szczególna, mówił Waksfeld z zadziwieniem, bo przecież wuj Stanisława Góreckiego Ignacy Jasieński miał syna żonatego i dzietnego imieniem Władysław. Wymarła więc rodzina, kiedy majątek przeszedł na linię poboczną.

— Doprawdy panie Waksfeld, zawołał Alfred, znasz widać dokładnie rodzinę Góreckich, kiedy nawet wiesz wszystkie szczegóły, dotyczące życia ich powinowatych.

— Ogromne moje plantacye bawełny w Ameryce odpowiedział śmiało Waksfeld, położone były obok plantacyi Jasieńskiego, z powodu więc bliskiego sąsiedztwa, miałem z nim bardzo częste stosunki.

Wszyscy z uśmiechem niedowierzania odpowiedzieli na usłyszaną przechwałkę, ale przez grzeczność nie wyrazili w sposób dobitniejszy zrodzonej w ich umysłach wątpliwości.

— Niedobrym jesteś Auguście, rzekł jeden z obecnych, bo wezwałeś nas do zakładu podstępnie, znając bowiem niespodziany zbieg okoliczności, byłeś pewnym wygranej.

— Radzisz mi więc robić zakłady, kiedy jestem pewnym przegrania? odpowiedział August ze śmiechem.

— Powiedz mi Auguście, zapytał Henryk, co to za człowiek ten Górecki?

— Bardzo przyjemny i ukształcony człowiek, odpowiedział zapytany, widywałem go w niektórych towarzystwach paryskich, nie mając z nim bliższych stosunków. Znakomitą grą na skrzypcach i nadzwyczajnie rzewnym wyrazem oczów, zamącił niejedno serduszko niewieście. On sam zakochanym był w jednej z zamężnych paryżanek, mającej ustaloną sławę zalotności.

Przychodzi mi pewna myśl, mówił dalej August, zrobiono mi zarzut stawienia zakładu na pewno, ponieważ wiedziałem o przyjeździe Góreckiego. Nie chcę zostać pod zarzutem podobnym, bo dobra wiara powinna być podstawą wszelkiego rodzaju zakładów. Stawiam więc kwestyą odwrotnie, utrzymując pod utratą tysiąca dukatów, jeżeli znajdę odpowiedniego zapaśnika, że Górecki zakocha się w pannie Józefinie. W tym razie objawiam śmiałość nadzwyczajną, nie wiedząc zupełnie: czy kocha się jeszcze, czy też zapomniał o dawniejszej swojej bogini?

Wyzwanie nietylko nie było podjęte przez nikogo, ale zapanowała jakaś cisza niezwykła w podobnem zebraniu.

Wszyscy byli zadumani, jakby pewność o nieuniknionej miłości wzajemnej pomiędzy Józefiną a Góreckim, uczyniła na ich umysłach najprzykrzejsze wrażenie.

— Panowie! zawołał nareszcie jeden z biesiadników, zabawną jest rzeczą, aby podczas uczty kawalerskiej nie było odpowiedniej wesołości, ale panowała jakaś cisza niewytłomaczona. Czynię dwa wnioski: najprzód, aby rozmowa o Góreckim i pannie Józefinie była zaniechaną, powtóre abyśmy dla ożywienia towarzystwa wypili zdrowie gospodarza, podejmującego nas z taką gościnnością i to już wielekroć razy.

Obydwa wnioski przyjęte było jednomyślnie. Kielichy napełnione winem szampańskiem, spełniono duszkiem wśród ogólnego gwaru.

— Gdyby to było właściwem, rzekł jeden złośliwie, to chętnie wypiłbym zdrowie kucharza, bo potraw tak znakomicie przyprawionych nie możnaby dostać w najpierwszej restauracyi paryzkiej. Ryby morskie i legumina z sosem były w swoim rodzaju arcydziełami.

Karol Pigrenier podczas całego śniadania jadł, jeszcze więcej pił, myśląc ciągle o ukochanej Eugenii.

W winie szukał środka zaradczego na dręczącą go tęsknotę; wypróżniał często kielichy, przy końcu przeto śniadania zostawał w błogim stanie podochocenia. Pogrążony w marzeniach na wpół miłosnych, a na wpół alkoholicznych, nie zwracał wcale uwagi na zebranych gości; wzniesiony dopiero toast na jego cześć i pochwały oddane kucharzowi, przyprowadziły go do względnego oprzytomnienia.

Wzruszony był głęboko doznanym zaszczytem, bo dotychczas w zebraniach nie zwracano na niego najmniejszej uwagi. (d. c. n)

TEATR U GREKÓW.

przez **E. B.**

(Dalszy ciąg).

W Hippolicie, innej tragedyi Eurypidesa, główną osnowę stanowi walka między namiętnością a poczuciem obowiązku. Bohaterką jest tutaj Fedra, żona ateńskiego króla Tezeusza, obłąkana miłością dla swego pasierba, dzikiego i surowego Hippolita.

Tragedya Hekuba osnutą jest na podaniach o wojnie Trojańskiej. Agamemnon uprowadza z sobą jako łup wojenny wdowę Priama Hekubę i córkę jej Polixenę w gronie najznakomitszych dziewic Trojańskich. Już flota argiwska stoi u wy brzeży Scytyi i lada chwila ma wypłynąć na morze z powrotem ku lubej ojczyźnie, lecz niepomyślne wiatry stoją ciągle na przeszkodzie. Wyrocznia oznajmia, że dla uproszenia stosownej pogody, należy poświęcić na ofiarę cieniom Achillesa Polixenę. Odyssej podejmuje się oznajmić wyrok śmierci trojańskiej królewnie. Bohatér ten występuje tutaj w charakterze niekczemnego niewdzięcznika. Bez litości porywa nieszczęsnej matce ukochane jej dziecię, na jej skargi i rozpacz odpowiada chłodno i spokojnie, że tak być musi. Daremnie przypomina mu sędziwa królowa przygodę jego z niezbyt dawnych czasów, gdy raz przebrany za żebraka wdarł się jako szpieg w mury Troi i poznany został przez Helenę, która z łatwością współziomka swego poznała nawet w tem przebraniu.

Niebezpieczeństwo było wielkie, drżący Odyssej oplótł kornie nogi królowej, serce jej zadrgało litością... i ocaliła wroga, dawszy mu sposobność do wymknięcia się niepostrzeżenie z miasta. Niezapiera się Odysseusz, że tak było istotnie, lecz odpowiada, że wdzięcznym jej jest i może być nawet, że w stosownej chwili czynem to okaże, lecz dzisiaj odmówić musi jej błaganiom, gdyż nie może skompromitować się w oczach ludu, któremu sam radził przedtem ofiarowanie Polixeny.

Nieszczęśliwa matka wyczerpawszy całą swą wymowę, zwraca się do córki aby ona sama błagała za siebie; głos jej słodki, widok jej wdzięków i młodości, wzruszy może twarde serce okrutnego Greka. Z godnością i dumą, jak przystoi królewskiej córze, odpowiada Polixena:

„Prawicę chowasz w fałdy twojej szaty,
Chmurne ode mnie odwracasz oblicze,
O! bądź spokojny. Głos mój nie bogaty.
W błagalne modły i jęki słowicze.
Pójdę, gdzie każe niezłomna potrzeba,
Śmierć mi niestraszna, o życie nie stoję.
W królewskim zamku stała ma koleba,
W złotych nadziejach płynęły mi moje
Dziewicze lata. Królewscy młodzianie
O takiej żonie marzyli i wianie,
Królewną zwały mnie Troi dziewczęta,
Podobna bogom stałam przed wszystkiemi,
Dziś niewolnicze dłoń podźwigły pęta,
A przed okropnem niewolnicy mianem,
Chętnie, o! chętnie, odlecę od ziemi.
Siotra Hektora! ja mam się przed panem
Chylić, co biedną oszacuje złotem?
Stać nad żarnami i nad kołowrotem
Pędzić przedługie godziny niewoli?
Nie! wolna w Hades niechaj biegnę ciemny,
Wiedź mnie Odyssie! zabijaj mnie śmiało!

. . . .

Ty matko czynem nie broń ani słowem!
Proś o śmierć moją, co od hańby broni!

Nie tu koniec cierpień Hekuby. Miała ona jeszcze jednego syna Polidora, którego wziął na wychowanie Polimestor, król Scytów. Biedna cieszy się nadzieją ujrzenia ostatniego dziecięcia, lecz przynoszą jej wydobyte z wody martwe zwłoki syna, gdyż Polimestor usłyszawszy o upadku Troi, złakomił się na skarby królewicza. Szalona pragnieniem zemsty zwabia Hekuba Polimestora do swego namiotu i wyłupia mu oczy!

Zdaniem znawców najlepszemi utworami Eurypidesa są: Ifigenia w Taurydzie, tłomaczona przez Szyllera, i Ifigenia w Aulidzie, które przerobił Göthe na dramat oryginalny. Oprócz tego napisał: Orestesa, Elektrę, Alastę, Andromachę, Trojanki, Feuissy, Bachantki i satyrdramat Kiklop.

W epoce, gdy tragedya grecka zaczęła chylić się do upadku, wzniosła się i największym zajaśniała blaskiem inna gałęź sztuki dramatycznej to jest komedya. Komedya zawdzięcza także swoje powstanie, obrzędom religijnym na cześć Bachusa.

Po odśpiewaniu wzniosłego i poważnego dytyrambu, uczestnicy uroczystości poprzebierani komicznie, obchodzili w processyi ulice miasta, śpiewając swawolne, niekiedy uszczypliwe piosnki.

Od wyrazu komos (procesya) i ode (śpiew) pochodzi nazwa komedya.

Pierwsze przedstawienia komiczne wzięły początek w Sycylii, i były trawestacyą podań heroicznych. W Atenach, gdzie dzięki swobodnym instytucyom, życie publiczne było tak rozwinięte i gwarne, komedya przybrała charakter polityczny.

Zadaniem jej było stawać pod pręgierzem opinii publicznej typy i fakta świadczące o zepsuciu obyczajów, o spaczeniu smaku, albo też pognębić bronią szyderstwa i śmieszności przeciwne stronnictwa polityczne. Łatwo wyobrazić sobie można, jak wielki wpływ wywierały na lud ateński tego rodzaju przedstawienia. Ci którym udało się pochwycić w swe ręce ster rządu, obawiali się swobodnej i dowcipnej krytyki swego postępowania i usiłowali ograniczyć tę swobodę, lecz dopiero pod rządem trzydziestu tyranów komedya polityczna wzbronioną została.

Budową swoją komedya podobną była do dramatu. I tu występował chór, złożony najczęściej z amatorów. a który robił czasami wrażenie fantastycznej maskarady. Zdarzało się np. że gdy wymagała tego treść sztuki, chór występował w postaci długoszyjnych ptaków, os ze śpiczastemi żądłami, żab, a nawet obłoków. W środku przedstawienia chór odwracał się ku publiczności i śpiewał tak zwaną „parabazę“, rodzaj humorystycznej odezwy do widzów, zastosowanej dowcipnie do okoliczności, co zwykle wywoływało homeryczne wybuchy śmiechu.

Doszły do nas liczne nazwiska autorów komedyi, utwory ich jednak zaginęły. Najznakomitszym jednak ze wszystkich był Arystofanes, a jedenaście pozostałych po nim komedyi wynagradzają nam po części stratę innych.

Wielki ten poeta urodził się 449 r. w posiadłości ojca swego Filipa, leżącej po za granicami Attyki.

Dlatego też garbarz Kleon, który po Peryklesie schwycił w swe ręce ster rządu, zaprzeczał mu prawa do obywatelstwa ateńskiego. Poeta mścił się za tę obelgę w swych komedyach. Nie brakło w nich scen rubasznych, trywialnych nawet, które raziły niezmiernie wykwintny smak dzisiejszej publiczności. Nie mogło jednak być inaczej skoro weźmiemy pod uwagę, że treść tych scen czerpana była zazwyczaj z ulicy i rynku, gdzie nie ubiegano się bynajmniej o elegancyą i wytworność, ale malowano rzecz każdą żywo i dosadnie.

Niewiele mamy szczegółów o życiu Arystofanesa; wiemy tylko, że był szanowany zarówno za swój talent, jak i za charakter osobisty. Z usposobienia i wychowania był zwolennikiem dawnego porządku rzeczy, należał więc do stronnictwa arystokratycznego, które zawsze, we wszystkich wiekach i narodach jest także stronnictwem konserwatywnem

stojącem no straży dawnych zasad i tradycyi. Walczy on bronią dowcipu i sarkazmu przeciw demokracyi wyobrażającej postęp, a według opinii przeciwników upadek. Na tem tle ścierania się dwóch przeciwnych prądów społecznych zarysowują się ważniejsze typy komedyi Arystofanesa. Do tych należą przedewszystkiem zuchwali domagogowie, bezsumienni krzykacze, którzy schlebiając ludowi dochodzą do władzy i sofiści, usiłujący zastąpić wiarę przodków mglistemi teoryami filozoficznemi. Epoka najwyższej jego działalności przypada na czasy wojny Peloponezkiej, którą przedłużało stronnictwo demokratyczne, podczas kiedy arystokracya była za pokojem. Arystofanes napisał w tymże celu trzy komedye: Acharnów, Pokój i Lizystratę w których wyszydza wojownicze usposobienie Ateńczyków i odsłania gospodarstwo demagogów, którzy krzykami swemi bałamucą rozum i sumienie publiczne, i dopuszczają się najniegodziwszych szalbierstw, podczas kiedy oszukiwany lud przelewa krew i płaci koszta wojny.

(d. n.)

Kronika Paryzka.

(Dokończenie).

Wzmiankowany wódz był prawdopodobnie wielkim zwolennikiem dokładności w opisie; stawiał bowiem poetów w pierwszych szeregach walczących mówiąc: chcę abyście opiewali czyny widziane przez was samych, a pomijali zdarzenia opowiadane przez innych. W czasie wypoczynku lubił słuchać pieśni powołujących niejako do życia ubiegłą przeszłość.

Wraz z czcią oddawaną Odinowi, zamarła i poezya dawnych skaldów. Zepsuty smak na podobieństwo chwastu wzrastającego na polach żyznych ale nieuprawnych zeszpecił wyobrażenia o pięknie ludów europejskich mieszkających na południu i północy. Zaprzestano nazywać rzeczy właściwemi im nazwiskami: niebo zostało domem słońca, pokrywą gór, lub wielką drogą gwiazd; ziemia, okrętem unoszącym się po nad wiekami, ogień bratem wichru a nieprzyjacielem lasów, złoto, zębem bożym, morze, pierścieniem ziemskim; głowa, polem włosów: krew, jeziorem ran i winem ptaków drapieżnych. Poezya w tym razie uległa losowi malarstwa, pod dłonią jednego z artystów starożytności. Wymalowaną przez siebie Wenus przyozdobił w drogocenne blaszki metalowe.

Zeuxis patrząc na przedstawiony obraz rzekł z krwią najzimniejszą:

— Nie mogąc jej zrobić piękną. zrobiłeś ją bogatą.

W owym czasie pieśni bohaterkie *wises* zastąpione zostały przez opowiadania *Sagas*. *Sagas* są to tradycye rodzinne podawane od pokolenia do pokolenia w pierwotnej czystości i słuchane z równem zajęciem pod namiotem żołnierza jakoteż w nędznej lepiance rolnika. Poszanowanie pamiątek przeszłości jest u ludów skandynawskich uczuciem prawdziwie religijnem; utwory wzmiankowane są tem dzisiaj czem były przed wieloma wiekami. Szczególniej w Islandyi Sagas przechowane były z wiernością zadziwiającą.

Proste następstwo położenia geograficznego.

Lud zamieszkujący wyspę rzuconą wśród obszarów oceanu, mający niewiele stosunków z innemi narodami, ulega zmianom nader powolnym; w tych warunkach przeszłość z teraźniejszością stanowi prawie jednolitą całość. Dzisiejszy Islandczyk opowiada z dumą dawne czasy, w których przodkowie jego bez podziału rozciągali władzę nad morzem północnem.

Przeżyło również w ustach ludu, wiele utworów dawnych skaldów. Jeden z poematów bohaterskich umie na pamięć prawie cała ludność, zarówno osoby dorosłe, jak młodzież płci obojga. Opowiedziana tam jest historya Regnara Lodbroka króla Danii którego życie jest prawdziwą epopeją przypominającą Odysseję. Niepodobna przytoczyć go z powodu zbytniej rozciągłości; zrobimy tylko wyjątek z przedśmiertnej pieśni starego wojownika ginącego w nieopisanych mękach.

Elli król angielski pochwyciwszy po zwycięzkim boju Lodbroka, osadził go w sali podziemnej napełnionej żmijami. Nieszczęśliwy bohater normandzki z powodu ich ukąszeń cierpi męki nieopisane, i zamiera opowiadając w pieśni świetność czasów przeszłych i obecne swe nieszczęścia. Każda zwrotka zaczyna się od wyrazów: „potykaliśmy się na miecze. Regnar więc mówi:

„Potykaliśmy się na miecze! Synowie Aslanga rozbudzą boga wojny szczękiem swej broni zaostrzonej, gdy się dowiedzą o mękach straszliwych jakie znoszę o obrzydliwych wężach gryzących me ciało, i niedających mi ani chwili wypoczynku. Dałem synom moim matkę która powiła bohaterów.

Potykaliśmy się na miecze. Śmierć zbliża się szybko; sploty wężów nie dozwalają odetchnąć swobodnie; żmija przeciska się aż do mego serca. Oh! Elli odczuje ciężki gniew Vidara; synowie moi doznają największego gniewu skoro powezmą wiadomość o mym zgonie: nie będą znać wypoczynku dopóki nie wywrą zemsty nad wrogiem.

Potykaliśmy się na miecze. Pięćdziesiąt i jeden razy prowadziłem synów moich do boju. Nie przypuszczam aby był człowiek waleczniejszy i silniejszy ode mnie. Śmierć nie przerazi mnie wcale. Spełniając rozkaz Odina boginie wychodzą na moje spotkanie. Uradowany zajmę wysokie miejsce przy stole zapijając miód wraz z bogami.

Kobiety nadane mają ważne znaczenie w utworach skandynawskich: stawiane są prawie na równi z mężczyznami pod względem odwagi i męztwa.

Harwagar - Saga opowiada historyą dziewicy mszczącej śmierć swego życiodawcy. W tym celu idzie do grobu po miecz złożony wraz z ciałem zmarłego, później biegnie do mieszkania nieprzyjaciela, wyzywa go do walki i zabija, składając napowrót broń zwycięzką w miejscu wiecznego spoczynku jej ojca.

Inna legenda opowiada zdarzenia jeszcze więcej awanturnicze.

Thornbiery córka króla szwedzkiego, gardząc strojem niewieścim, przywdziewa zbroję, dosiada konia przyjmując udział w wyprawach wojennych. Ojciec chcąc wynadgrodzić męztwo przez nią okazane, zamianował ją rządzcą jednej prowincyi, gdzie przyjęto ją z wielkiem odznaczeniem.

Różni książęta zachwyceni jej pięknością, starają się zdobyć serce nieprzystępnej bohaterki. ale ta odpowiada z dumą:

— Kto mnie zwycięży w boju ten otrzyma moją rękę.

Nie zbywa na ochotnikach do szczególnego rodzaju zalot, wszyscy zwyciężeni, niektórzy przypłacili życiem zuchwały zamiar swego serca.

Nareszcie znalazł się zwycięzca, który bohaterkę zabrał do niewoli. Wypadało dotrzymać danego słowa; dziewica wraca do swego ojca a składając przed nim zbroję i oręż mówi:

— Zwracam ci ojcze władzę jaką mi nadałeś, wyrzekam się sławy poprzestając na prawach właściwych kobiecie.

Opowiadanie pod tytułem Hialmar, odznaczone jest uczuciowością dosyć niezwykłą w poezyi skandynawskiej. Wielki wojownik Hialmar pada na placu boju bez wydania najmniejszego jęku boleści; bez wymówienia jednego wyrazu żalu za ubiegającem życiem, zdejmuje z palca pierścień prosząc przyjaciela aby złożył go do rąk jego narzeczonej.

Przyjaciel wyjeżdża z obozu, staje wkrótce przed Ingeborgiem, i oddaje posiadany klejnot stęsknionej dziewicy, nie wymówiwszy ani jednego wyrazu.

Nieszczęsna dziewica rzuciwszy spojrzenie na pierścień, poznaje go, wydaje krzyk straszliwy, i pada bez życia.

Wielka liczba opowiadań odznaczona jest prawdą historyczną. Niektóre z nich rzucają żywe światło na przeszłość ludów północnych, malując dawniejsze obyczaje i wyobrażenia. Pod formą bajek przeznaczonych dla dzieci, ujęte są prawdy wielce pożyteczne dla ludzi dorosłych.

Magnussen urodzony na wyspie Islandyi oddał tę samą przysługę skaldom skandynawskim, co kiedyś Macpherson bardom Szkocyi i Irlandyi.

Zebrawszy pieśni i opowiadania ludowe dał je poznać uczonej Europie, która długi czas nie chciała wierzyć, aby znajdowała się gdziekolwiek literatura wyrosła samoistnie, bez wpływu arcydzieł starożytnej Grecyi i Rzymu. Z największem zadziwieniem powzięto wiadomość, że nawet we Francyi prawdziwie narodowa literatura kryła się wstydliwie wśród lasów i gór dawnej Armoryki.

Dzisiaj już niewolno w tej mierze wyrażać najmniejszego powątpiewania, po pracach dokonanych przez panna Villemarque. On pierwszy zebrał pieśni ludu śpiewane oddawna w Bretanii i tym sposobem wytworzył książkę może najwięcej oryginalną. Zanim jednak zajmiemy się jej rozbiorem, wypada przedewszystkiem dać choć ogólny zarys przeszłości literackiej, pierwotnych mieszkańców dzisiejszej Francyi.

Przegląd literacki.

(Dalszy ciąg).

Sędziwy i zasłużony Wójcicki, aż do zgonu nie wypuścił z ręki pióra: zakończył życie w pierwszych dniach sierpnia, a jeszcze w zeszycie czerwcowym Biblioteki mamy jego artykuł o pieśniach historycznych, w lipcowym zaś — dalszy ciąg wspomnień o Warszawie i jej życiu literackiem przed 1830 r. Zajmujące tu są wiadomości o działalności księgarza Natana Glücksberga, który wydawał wiele książek i pierwszy począł płacić autorom honorarya: tak Niemcewiczowi za Jana z Tęczyna wypłacił 500 dukatów obrączkowych (pieniądze były wtedy złote i srebrne).

Niemniej zajmujące są dzieje Gazety Literackiej, która przestała wychodzić 1822 r. dla *braku spółpracowników* (nie prenumeratorów) i próbki krytyki zarówno jak humorystyki literackiej. Czytając o szybkiem rozchodzeniu się pism i książek (Jana z Tęczyna w ciągu kilku godzin sprzedał Glücksberg tylko w swojej księgarni 400 egzemplarzy po 24 zł. egzemplarz), o podchwytywaniu przez ogół rozmaitych okolicznościowych śpiewów i utworów wybitniejszych poetów, wreszcie o zapale i wrażeniu, sprawianem na cały ogół czytelników znako-

mitemi utworami lub artykułami, musimy wyznać że choć dzisiaj więcej niby czytają ale to czytanie jest obojętniejsze, jest może po części rzeczą mody lub biernego nałogu, nie jest zaś, że tak powiemy, równie żywotnem, organicznem niejako i naturalnem jak dawniej. A jednak wtedy francuzczyzna panowała u nas szeroko i język polski u wielu był w zaniedbaniu, jak skarży się Brodziński w przytoczonym przez autora wierszu (Żal za językiem polskim). Czytamy tam pomiędzy innemi:

Nie po polsku do swoich ojców mówią dziatki...
Przestała luba dziatwa pieścić mowę dziadów...
W obcym języku córka uczucia rozjawia,
W obcym dowcip rozwija i do cnót się wprawia...

Na tem zakończymy wzmiankę o ważniejszych artykułach Biblioteki i przechodzimy do Ateneum. I tu znajdujemy dość znaczną ilość rzeczy poważnych, o których zaledwie krótką uczynimy wzmiankę.

Dział historyczny, jak zwykle, najlepiej jest zaopatrzony. Mamy tu zajmującą pracę p. Prochaski p. n. „Przed Grunwaldem“, roztrząsającą stosunki krzyżacko-polskie: dalej artykuł p. Jarochowskiego p. t. „Koniec Radziejowskiego.“ Autor oddaje się specyalnie badaniom dziejów pierwszej połowy XVIII wieku i przysłużył się piśmiennictwu naszemu już znaczną liczbą monografii i artykułów o owej epoce. W niniejszym szkicu przedstawia w całem ohydnem świetle dwulicową politykę prymasa Radziejowskiego.

Ojciec sprowadził był do Polski Karola X ze Szwedami, godny syn wiązał się z KarolemXII. Najwyższy dygnitarz kościoła, arcybiskup gnieźnieński i prymas, sprzedawał swoje usługi za pieniądze i nie wstydził się otwarcie żądać w swych listach od Szwedów pieniędzy. Niemniej chciwą była pani Towiańska, doradczyni i wszechwładna kierowniczka prymasa, u którego z całą swą familią mieszkała. Pomimo to umiał Radziejowski umizgać się i do przeciwnej strony, potrafił i na dwóch stołkach siadywać i przewrotnie usprawiedliwiać się przed papieżem, skarżąc się na prześladowania, wystawiając siebie, jako gorliwego obrońcę interesów kraju i kościoła. Smutna to i wstrętna kartka z opłakanych dziejów epoki upadku.

Nakoniec do działu historycznego należy także cenna praca S. Smolki „O pojęciu, zadaniu i stanowisku historyi.“ Tu także autor poświęca słów kilka głośnym obecnie poglądem p. Bobrzyńskiego i wykazuje, że poglądy tego autora mało różnią się od znanych poglądów pozytywisty Buckla, z tą tylko mianowicie różnicą że p. Bobrzyński nie odrzuca całkiem, jak Buckle, rozwoju moralnego i że dla p. Bobrzyńskiego historya jest tylko sprawdzeniem praw rozwoju, wykrytych przez nauki prawne i polityczne.

„Listy Czeskie“ przez Prawdę, niewiele obudzają interesu, z powodu że treść ich — koleje narodowości czeskiej i jej walk z niemiecką — już tysiąckrotnie była u nas opracowywaną, pomiędzy innemi np. w Listach z Czech, które przed kilkoma laty p. Adolf Smorczewski drukował w Gazecie Polskiej a potem wydał w osobnej odbitce.

W ogóle w ostatnich czasach plemiona słowiańskie, a zwłaszcza Czesi nie mogą się skarżyć, ażebyśmy się niemi nie zajmowali: aby tylko odpłacili się nam wzajemnością.

P. Święcicki jednocześnie obdarzył obydwa nasze miesięczniki studyami z literatury hiszpańskiej, gdyż i w Ateneum także znajdujemy artykuł o komedyopisarzach hiszpańskich, z obszernemi streszczeniami i wyjątkami.

Niedokończony, chociaż dość obszerny, urywek z papierów pośmiertnych Gabryelli (Żmichowskiej) p. t. „Kasia i Marynka“ dziwne wrażenie wywiera na czytelniku. Treść jego stanowi przygotowanie młodej panny do stanu małżeńskiego. Myśli głębokich i uwag trafnych mnóstwo, niekiedy nawet takie bogactwo myśli, że słowa widocznie zaledwo im podołać i nadążyć mogą; ale obok tego tyle zboczeń, tyle rozmaitych przytoczeń i drobiazgowej erudycyi, że niknie najważniejszy, zwłaszcza w pismach kobiety i dla kobiet, urok prostoty i całość sprawia odurzające, nieco chaotyczne wrażenie. Ostatecznie jest to niezmiernie rozwlekły i gadatliwy utwór.

Artykuł „Logika i Metafizyka“ przez F. K. jest rozbiorem dzieła myśliciela francuzkiego Liarda, który usiłuje nadać pogardzonej dziś metafizyce znaczenie praktyczne, a mianowicie opiera na niej naukę obyczajową czyli moralność. Pan F. K. w tej ocenie okazuje się nieubłaganym i krańcowym pozytywistą, utrzymując że „ustalenie pojęć obyczajowych, równie jak wszystkich innych, jedynie drogą doświadczenia da się osiągnąć.“ Obyczajowości czyli moralności chrześciańskiej widocznie pan F. K. nie uznaje.

Pomijając inne artykuły mniej ważne i przechodzące sferę kompetencyi piszącego, zwrócimy się teraz do krótkiego sprawozdania, o którem, z powodu ważności przedmiotu, zamierzamy pomówić najobszerniej. Jest to recenzya dziełka p. Walickiego „Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane“ wydrukowana w sierpniowym zeszycie Ateneum na str. 366—375 i podpisana literami A. A. K. Nie zamierzamy krytykować recenzyi, ani też nie będziemy jej rozbierali ze względu na dziełko pana W., którego wartość naukowa jest niewielka, jak to było wykazane w Tygodniku w recenzyi pierwszego wydania tej książeczki. Powód, dla którego chcemy zwrócić szczególną uwagę na wystąpienie pana A. A. K. jest daleko ważniejszy. Dotychczas rzadkie głosy, podnoszące się w obronie coraz to bardziej kaleczonej mowy przodków, znajdowały mniej więcej uznanie i pobudzały do głośnego lub cichego *mea culpa* tych, którzy się czuli winnymi grzechu skażenia, a niekiedy i do poprawy. W wymaganiach wołających o poprawę były pewno nieraz pomyłki; pełno ich i w dziełku pana W. i te pan A. A. K. równie jak każdy inny, może prostować z zupełnem prawem, ale nikt jeszcze dotąd nie próbował *usprawiedliwiać* wyrażeń i form niewątpliwie nowych, spaczonych, i od dotychczasowych wzorów odstępujących i przytem usprawiedliwiać nietyle w skutek błędnych pojęć i własnej nieświadomości zasad języka, ile dziwaczną jakąś logiką, pobocznemi, towarzyskiemi i światowemi jakiemiś względami, jak to czyni pan A. A. K. Jednem słowem pan A. A. K. spółpracownik Ateneum i recenzent dzieł tyczących się języka polskiego, *pierwszy* występuje świadomie, jako obrońca skażenia języka.

Że tak jest i że pan A. A. K. czyni to świadomie, używając dziwnych argumentów, zaraz to się pokaże: zresztą prasa zwróciła już na to uwagę i przeciwko podjętej przez pana A. A. K. obronie niektórych form skażonych, zamieściły już Kłosy artykulik, powtórzony następnie w jednem z pism codziennych.

Zwróćmy teraz uwagę na niektóre wybitniejsze szczegóły pojedyncze poglądów językowych pana A. A. K.

Błędnie usprawiedliwia pan A. A. K. wyrażenie „konie zajechały“ (zam. *zaszły*), tłomacząc że *zajechały* to znaczy *zaprzężone* do powozu. Ażeby *jechał* ten kto jest *zaprzęgony do powozu* o tem zaprawdę nie słyszeliśmy i ani logika ani dobre wzory nie usprawiedliwiają tego wyrażenia. Jedzie ten tylko, kto siedzi na wozie lub w powozie, a zresztą możnaby się już prędzej zgodzić na używane dość często wyrażenie *powóz zajechał* niż na „*konie zajechały*“ gdyż powóz przez konie ciągniony niejako *jedzie*, ale konie w żadnym razie nie *jadą*.

Niedorzeczny galicyzm *dalej nie idzie*, używany gdy chcemy oznaczyć najwyższy czegoś stopień, pan A. A. K. usprawiedliwia porównaniem z wyrażeniami: *o co idzie* to *ujdzie*, to *uchodzi* i t. d. które to wyrażenia z powyższem nic zgoła wspólnego nie mają. (d. c. n.)

OPIS RYCINY KOLOROWÉJ.

Strojne ubranie z aksamitu i faille, ma spódnicę z przodu fałdowaną z tyłu gładką. Veêtment aksamitne z przodu podpięte a panier, z tyłu dopełnione długim odciętym i podpinanym brytem, ogarnirowanym zarówno jak przody fałdowaną koronką. Vetêment zapina się na kryte haftki z przodu, w środku marszczonego, bawełnowo przedłużonego plastrona. Suta ruszą z koronki otacza wykrój szyi i obcisłe rękawki. Wachlarz okrągły z pawich piór.

Ubranie na proszone obiady. Do gładkiej atłasowej spódnicy z trenem, garnirowanej falbanką układaną w kontrafałdy, dodane vetement z aksamitu przerabianego w drobny rzucik, takim krojem jak poprzedzająca toaleta. Szerokie jedwabne fredzle przerabiane złotą nitką. Kokardy z wstążki atłasowej.

Nowe wydawnictwa.

Żywot Najświętszej Panny Maryi, Niepokalanej Boga rodzicy, z różnych autorów dla ludu miejskiego i wiejskiego zebrany przez niegodnego sługę Maryi, wyszedł nakładem Gebethnera i Wolffa. Według oświadczenia ks. G. Rzewuskiego kanonika katedralnego płockiego i cenzora ksiąg duchownych, praca ta napisana bardzo przystępnie zupełnie jest zgodną z nauką kościoła. Cena egz. kop. 15 na miejscu.

Wspomnienia obywatelskie przez autora kłopotów starego komendanta. Lwów nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

Poezye Izy — nakładem tejże samej firmy.

Dwie pieśni Stanisława Moniuszki: Prząśniczka i Złota rybka, ułożone na fortepian wyłącznie, przez Maurycego Dietricha—kop. 60.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 5 Февраля 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek,

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 8 r. 1880.

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Zobaczywszy tak niespodziewanie sir Norwich'a, wydała krzyk przerażenia, odwróciła się ze wstrętem, zmarszczyła brwi, chciała się zerwać, ale zaplątawszy się w długi fałdzisty negliż, opadła na kozetkę, i pozostała czas jakiś nieruchoma, jakby sparaliżowana przerażeniem.

Sir Norwich zatrzymał się we drzwiach; w jednej ręce trzymał kapelusz, w drugiej uniesioną axamitną portierę—sam nie wiedząc czy ma wejść czy się cofnąć. Wpatrywał się z zachwyceniem w tę piękną kobietę, wywierającą na niego od dawna jakiś nieprzeparty urok. Nareszcie Sara przerwała milczenie; spoglądając na niego zagniewanym wzrokiem, zawołała:

— Co za czelność!.. jak śmiesz pan pokazywać mi się na oczy... a jeszcze wchodzić bez zameldowania... nie zapukawszy nawet?...

— Nie było nikogo w przedpokoju... nie wiedziałem że pani tu jesteś.

— Sir Norwich... przerażasz mnie...

— Ja to mógłbym słusznie to powiedzieć.. jesteś za nadto!... przerażająco piękna...

— Co za zuchwalstwo!.. jak śmiesz pan przychodzić do mnie, zabiwszy prawie Cipriana.

— Pociesz się pani, nie umrze z odniesionej rany... gotów byłbym ponieść daleko głębszą i niebezpieczniejszą, gdybym mógł tylko mieć nadzieję że mnie tak żałować będziesz... bo dla takiej kobiety, warto nawet umierać!

— Przestań, sir Norwich, taka mowa jest zupełnie nie na miejscu... proszę powiedz raczej co cię tu sprowadza.

— Chęć usprawiedliwienia się i uzyskania przebaczenia.

Sara poprawiła nieład ubrania, wskazała sir Norwich'owi fotel, mówiąc:

— Słucham... i miłoby mi było gdybyś zdołał się usprawiedliwić.

Anglik opowiedział ową gwałtowną napaść w Monza i szczegóły pojedynku, a nareszcie rzekł:

— Teraz, jako bezstronny sędzia, powiedz czy mogłem odmówić pojedynku?

— Ale nie mówisz mi nic, sir, o twojej nocnej wycieczce.

— O jakiej? zapytał niewymownie zdziwiony.

— Mężczyzna jakiś przepędził noc w villa Hortensia, ogrodnik widział go wychodzącego oknem.. jedni mówią że to pan byłeś.. inni że kamerdyner twój miał romans z panną służącą... proszę powiedzieć mi prawdę.

— Pierwszy raz o tem słyszę.

— Powiedz mi pan prawdę... bądź szczerym... czy nigdy nie byłeś w villi Hortensia?

— Nie wiem nawet gdzie ona leży.

— A przecież był to rzeczywisty powód pojedynku.

— Nic a nic o tem nie wiedziałem... i mam sobie za obowiązek dać hrabiemu poznać prawdę.

— Bardzo proszę nie rób tego, sir, czy słyszysz?

— Dla czegóż nie mam obalić niesłusznych podejrzeń.

— To już moja rzecz... Czy odmówisz sir mej prośbie?

— A! czyż mógłbym odmówić ci czego kolwiek?.. żądaj odemnie mego życia... majątku... w zamian za jeden pocałunek.

— Żądam tylko milczenia — a w zamian zapewnisz sobie sir moją nieskończona wdzięczność... Zawsze jednak pozostanie mi wątpliwość—czy powiedziałeś sir prawdę, lub czy jako szlachetny rycerz pragniesz ocalić honor kobiety.

— Ależ zapewniam...

— Nie mówmy już o tem, szanuję twoją delikatność sir. Lepiej powiedz mi teraz czemu odzywałeś się z tak niedorzecznemi odgróżkami w klubie mediolańskim, one to zrodziły pierwsze podejrzenia hrabiego.

— Zwykłe to żarciki młodych ludzi, wśród swoich, po dobrym obiedzie. A zresztą wolno sprzeciwiać się temu aby ktoś miał dwie żony, w kraju gdzie wielożeństwo nie jest dozwolone.

— I posłałeś sir na zwiady swego kamerdynera, aby rozpoznał miejscowość i zrekognoskował czy nie uda ci się wedrzeć do fortecy i zdobyć hrabinę.

— Był to fałszywy atak, dla zamaskowania prawdziwego planu.

— Nie rozumiem cię, sir.

— Zdawało mi się, że hrabia nie będzie mógł zbyt długo pozostawać z dala od domu... chciałem więc tylko przyśpieszyć powrót zbłąkanej owieczki do owczarni.

— Powrócił tam tylko dla ocalenia honoru swego nazwiska, i...

— I pozostanie tam... aby żyć z żoną.

— Co to za żona... wiesz dobrze, sir, że małżeństwo to nie jest małżeństwem... a dziś stało się niemożebnem. Było to szaleństwo jakiego Cipriano dopuścił się uniesiony zazdrością i gniewem... ale nie popełni powtórnego, aby miał trzymać jak na uwiązi kobietę której nigdy nie kochał i nie kocha, i której powinien wrócić wolność...

— Niestety! nieubłagane prawa sprzeciwiają się temu.

— Sądzisz, sir, że nie można unieważnić podobnego małżeństwa?

— Przekonany jestem że jest to niemożebnem... szczególniej teraz gdy małżonkowie zamieszkują razem.

— I cóż to znaczy.,. kiedy mąż jest prawie umierający.

— Nie jest umierający ale tylko ciężko ranny, ale przecież rana zagoi się kiedyś, a gdy odzyskując zdrowie, zobaczy obok siebie żonę młodą i piękną, która pielęgnuje go tak troskliwie podczas tak długiej niemocy, czy sądzisz pani że zdoła oprzeć się pokusie?

— Tak, wierzę iż będzie mi wiernym, odrzekła z przekonaniem, spoglądając wyzywająco na niego.

— Wszystko jest możebnem gdy chodzi o panią, gdyż około wszystkich którzy cię kochają, zataczasz jakby czarodziejskie koło, czyniąc ich nieczułymi na powaby innych kobiet. Nie ma na świecie drugiej równie zachwycającej kobiety... jesteś czarodziejką. syreną, szatanem wyrzeźbionym dłutem Fidiasza, z materyału miękkiego, bielszego od mleka, z włosami czarniejszemi niż ciemności, z oczami jaśniejącemi większym blaskiem niż gwiazdy.

— A! sir Norwich, zkąd ci się biorą te górno-lotne frazesa? zapytała z szyderskim uśmiechem.

— Alboż wiem?... Pani mogłabyś lód rozpłomienić.

— W takim razie, powinno to przekonywać cię, sir, że Cipriano pozostanie mi wiernym.

— Powtarzam że niepodobieństwo ustaje gdy chodzi o ciebie; — ale wiesz pani zapewnie że oddalenie jest bardzo niebezpiecznym wrogiem... Nieobecny zawsze traci, mówi przysłowie... a dodaj pani do tego chorobę, która osłabia wszelkie zapały— oraz sąsiedztwo prawej żony—a mogę zapewnić że hrabina jest bardzo piękna. W prawdzie piękność jej inna niż twoja, z pierwszego wejrzenia nie przemawia do zmysłów, nie zapala gwałtownych namiętności, ale wnika powoli do duszy, podbitej niebiańskiem jej promieniowaniem, roztaczającem do koła nadziemską jakąś atmosferę. Ty pani, jesteś jakby upajającym trunkiem... ona słodkim nektarem, pogrążającym zmysły w jakiemś błogiem uśpieniu.

— A! zdradziłeś się, sir Norwich... jesteś zakochany w hrabinie.

— Co za szaleństwo! widziałem ją zaledwie kilka razy, zanim jeszcze poszła za mąż.

— Więc przypuszczasz sir że może wydrżeć mi miłość Cipriana? nęcić go swemi wdziękami?

— Zrozumijmy się... hrabina nie będzie wabić go zwykłemi środkami, ale dokonać tego może urok jej cnoty i skromności, jej młodość i piękność... Jest to kobieta bardzo zajmująca, a dotychczasowe jej tak przezorne postępowanie, dozwala przypuszczać.. że może pragnie zostać rzeczywiście — żoną swego męża.

— Mogłabym może obawiać się tego, gdyby Cipriano był mniej podejrzliwy, mniej uparty.. i mniej zdolny poddać się żadnemu narzuconemu jarzmu. Podejrzenie powstałe w jego umyśle nie łatwo się rozproszy, a pycha jego i obawa żeby nie został oszukanym, ustrzegą go od pokus.

— Więc chciałabyś pani aby do tego stopnia był zaślepionym, żeby aż wierzył w niewierność hrabiny?

— A jeżli się znajdą dowody?... owa wypędzona garderobiana zamieszkała tuż pod parkiem: hrabina opłaca ciągle jej milczenie... a prawdopodobnie posyłałeś sir do villi swego kamerdynera, dla tego jedynie aby zmylić czujność ogrodnika.

— Ależ to stek niedorzeczności.

— Jednakże tak mówią, i ja życzę sobie aby tak mówiono. Ostrzegłam już Cipriano aby nie dozwalał wystawiać się na śmieszność.

— Więc tak bardzo kochasz tego swego Cipriano?

— Dla czegoż nie miałabym go kochać.

— Bo był względem ciebie okrutnym i niespra-

wiedliwym... podejrzywał że cię ubóstwiam, no, i w tem wcale się nie mylił... Ale czyż nie powinien był czekać aby postępowanie twoje usprawiedliwiało jego nielistościwą surowość, a nigdy przecie niczem nie ośmielałaś uczuć moich... czyż więc godziło się porzucać cię za najlżejszem posądzeniem, nie dopuścić wytłomaczenia, przeniewierzyć ci się i przez zemstę ożenić?

— Cóż robić, taka już jego natura... każdy ma swój charakter... Namiętności jego są gorące, jest gwałtownym tak w gniewie jak w miłości... Sama ta jego zazdrość jest dowodem miłości... jak tylko poznał swój błąd, ocalił mi życie, zapomniał o wszystkiem, zdeptał przesądy społeczne i poświęcił żonę dla mnie... To też do śmierci wierną mu pozostanę...

— Więcej przez wdzięczność niż przez miłość.

— Przez miłość, przez wdzięczność... przez wszystko co pan chcesz.

— A jakaż będzie przyszłość twoja?

— Moja przyszłość?... wiesz pan przecie...

— Nic nie wiem — prócz tego tylko nad czem może nie zastanowiłaś się dostatecznie.

— Nad czem naprzykład?

— Albo hrabia umrze z odniesionej rany—albo pogodzi się z żoną, a w obu razach stracony będzie dla ciebie.

— Pierwsze przypuszczenie, z łaski pana, mogłoby się urzeczywistnić, ale drugie jest za zbyt śmiałe; mam nadzieję że wyzdrowieje — a wtedy niezawodnie powróci do mnie.

— Jest to prawie niepodobieństwem.

— Czemu?

— Bo jesteś nadużyciem — a żona przedstawia słuszność i prawo, które zawsze w końcu odnoszą tryumf. Pewne stosunki nie dotrwają do końca życia, jeźli są zmuszone walczyć z legalną rodziną. Co dzień miewamy przykłady że mąż opuszcza żonę dla kochanki, ale to nigdy się jeszcze nie zdarzyło aby kochanka dwukrotnie odniosła zwycięztwo nad młodą i piękną żoną, oczekującą spokojnie swego miodowego miesiąca.

— No! więc tak będzie tym razem.

— Nie łudź się, Saro, i nie sądź że mówię powodowany własnym interesem... wyjeżdżam niedługo —i jedynie dla tego przyjechałem do Wenecyi, aby cię raz jeszcze zobaczyć i pożegnać.

Sara zaniepokoiła się mocno; czuła się dotkniętą w swej pysze. Uwagi sir Norwicha dały jej wiele do myślenia — złudzenia jej rozwiewały się pod tchnieniem zimnej rozwagi. A potem, podobne kobiety bywają często niedostępne dla korzących się wielbicieli, a przeciwnie stają się mniej surowe dla umiejących oprzeć się ich ponętom.

— Bywaj zdrowa! rzekł swobodnie, wstając i podając jej rękę.

— Tak prędko odchodzisz, sir, i to właśnie gdy usprawiedliwiłeś się zupełnie i odzyskałeś mój szacunek. Zasmuciłeś mnie swemi złowieszczemi przepowiedniami... i teraz zostawiasz mnie samą..

— Boję się być natrętnym — zawsze tak surową jesteś dla mnie.

— Siadaj pan... skoro już przekroczyłeś zakaz, to nie odchodź jeszcze... nie przyjmuję nikogo, możemy więc nie obawiać się niczego.. A tak potrzebuję trochę rozrywki: opowiedz mi pan coś coby mogło rozproszyć nękający mnie smutek... Gdzie się udasz opuściwszy Wenecyę?

— Myślę wracać do Paryża, odrzekł spokojnie.

— Do Paryża! zawołała unosząc się: ten Paryż to moja ojczyzna... marzenie mej duszy!... ileż to wspomnień sama jego nazwa przywodzi mi na pamięć! sama myśl powrotu do niego, jest dla mnie tem, czem oaza dla zbłąkanego w pustyni wędrowcą... W tej smutnej samotności, coraz silniej uczuwać mi się daje tęsknota za krajem; myślę o nim całe te dni tak nieznośnie długie. Patrząc na te puste i milczące ulice Wenecyi, mimowolnie porównywam je z gwarnemi, wesołemi, i tak pełnemi życia ulicami Paryża. Jakby w cudownej panoramie, przesuwają się przed memi oczami jego długie i szerokie bulwary, otoczone drzewami i rewerberami, zapełnione powozami i przechodniami, i widzę te eleganckie tłumy, te wielkie wysokie domy, teatra, gmachy z dachami pokrytemi łupkiem lub cynkiem, i las kominów po nad morzem domów. Słyszę ten nieustanny szmer podobny do szmeru Oceanu, czuję odór asfaltu i zimny dreszcz mnie przebiega.

— Podzielam zupełnie zdanie pani, odrzekł sir Norwich: w Paryżu tylko żyje się prawdziwie; i ja także uczuwam nieprzepartą chęć rzucenia się znów w to życie pełne wrażeń, uciech i rozkoszy... i ja także potrzebuję zerwać z tem życiem samotnem, budzącem same tylko ponure myśli.

I wpatrując się w nią dodał:

— Czy przypominasz sobie, Saro, nasze przechadzki z Emmą? wesołe wycieczki do Saint Cloud, Asnieres, do Bougival?... owe śniadania na murawie i wesołe kolacye w *Caffé anglais*... rozkoszne wieczory i noce balowe?

— Ach! mogłażbym zapomnieć! odrzekła, słuchając go z zachwyceniem; nigdy ich nie zapomnę!.. ach! piękne, rozkoszne to było życie! i minęło już dla mnie... i kto wie czy kiedy wróci....

— Kiedy zechcesz, odrzekł znacząco sir Tomasz, a przysuwając się do niej dodał pół-głosem:

— Pomyśl poważnie o przyszłości!.. na jedno skinienie twoje, zapewnię ją zgodnie z twojem... i mojem życzeniem. Możesz powrócić do Paryża i być otoczoną przepychem i zbytkiem, jakich ma prawo wymagać tak piękna jak ty kobieta.

Sara pogardliwie podniosła głowę, oczy jej ponurym zabłysły blaskiem, wlepiła je w Anglika z ostrym i wyniosłym wyrazem, i odpowiedziała drwiącym tonem:

— Precz szatanie!... Pokusa jest bardzo silna... ale chybi celu... jestem wierną... i pozostanę.

— A więc... żegnam!

— I wziąwszy kapelusz zabierał się do wyjścia, gdy brał za klamkę, Sara rzekła mu:

— Już odchodzisz, sir, i nie powiedziałeś mi nawet czy się jeszcze zobaczemy się przed odjazdem twoim do Paryża.

— Jeźli żądasz abym powrócił...

— Nie nie żądam, pytam tylko...

— Przyjdę pożegnać cię na zawsze... choć dla mojej spokojności nie powinien bym tego czynić... jesteś okrutna jak pantera, która z rozkoszą szarpie rany swych ofiar,.. Ale trudna z tobą walka; Saro, —zapomina się o bólu, byle cię choć raz jeszcze zobaczyć...

To powiedziawszy zatrzymał się na progu aby raz jeszcze obejrzeć się na nią. wlepiła w niego palące spojrzenie.—dreszcz go przejął, zdawało mu się że ziemia zachwiała się pod jego stopami.

XV.

Jak to widzieliśmy, listy z Monza przynosiły Sarze coraz gorsze wiadomości z villa Hortensia.

Cipriano leżał w malignie, nie poznawał nikogo, prawie stracono nadzieję ocalenia go. Sara przestała pisywać do niego i postanowiła czekać, aby odpędzić czarne myśli i ukoić miotający ją niepokój, używała w gondoli przejażdżek po wielkim kanale. Wspaniały widok majestatycznych pałacy marmurowych zdobiących jego wybrzeża przykuwał jej zadziwione spojrzenia i dozwalał zapominać o trapiącem ją zmartwieniu. Opływała wybrzeża, zatrzymywała się przed małym placem zapełnionym zbitym tłumem, wpatrywała się w kolumny i kopuły Ś. Marka, w pałac książęcy, w więzienie, wpływała między inne gondole; przenosiła się w wyobraźni w te oddalone strefy z których nadpływały rozliczne okręty—i świat wydawał jej się bezmierny, nieskończony. Potem znów opływała ogrody; lekki wietrzyk przynoszący jej wyziewy z ziemi i woń kwitnących roślin, przypominały jej oddaloną ojczyznę, a drzewa z wyspy Ś. Marty, przywodziły jej na pamięć zielone wysepki Sekwany i błogie wspomnienia pierwszej miłości. Słońce błyszczące w przezroczu modrych fal lagun, odbijające się od flag okrętów, od pałacowych marmurów, od szczytów dzwonnic, tworzyło w jej oczach jakąś czarodziejską mięszaninę nieokreślonych kształtów i świetlanych barw, bogactwo świateł i cieni, przenoszących myśl w jakieś fantastyczne światy.

W obec tak wspaniałego widoku przesuwającego się przed wzrokiem jak senne marzenie, ciało spoczywa leżąc na wygodnych poduszkach gondoli, umysł i serce wpadają jakby w odrętwienie... patrzy się... słucha... oddycha!.. i zapomina o wszystkiem!...

Wracając do siebie przyjmowała wizyty, pozwalając zaprzęgonym do swego tryamfalnego wozu składać sobie hołd poddaństwa. Podbiwszy ich siłą swych urokliwych spojrzeń, raczyła przyjmować ich jak królowa nie znająca innych praw nad swoją fantazyę, nie przyznającą poddanym innych przywilei nad wolność uwielbiania jej, innych względów nad łaskawe uśmiechy. Ale nadzieja nigdy zupełnie nie opuszcza śmiertelników; więc też i wielbiciele pięknej Sary pochlebiali sobie każden z osobna że może kiedyś jakiejś większej, specialnej dostąpią łaski, i dla tego nie przestawali zalecać się do niej z niezachwianą stałością. Jeźli niekiedy buntownik jakiś, zniechęcony doznawanemi zawodami, zdawał się odstępować bezlitośne bóstwo, jednem spojrzeniem rozdmuchiwała przygaszający ogień i przykuwała niewolnika do kajdan.

Podczas zabaw karnawałowych i nieustannego wiru uciech i rozrywek w jakich przyjmowała udział w towarzystwie Cipriano, spojrzenia jej rzucane z szatańską, umiejętnie obrachowaną kokieteryą, podbiły liczne ofiary — a wielbiciele ci przyjmowali je jako oznakę i zadatek miłosnych przyrzeczeń; lecz gdy przybiegali pragnąc zrealizować te wartości, nic uzyskać nie mogli; dłużniczka nie uznawała się bankrutem, domagała się zwłoki, odnawiała wexle i nigdy nie odprawiała wierzycieli bez pozostawienia im iskierki nadziei.

Gdy wiadomość o pojedynku i ciężkiej ranie hrabiego doszła do uszu wielbicieli Sary, wywołała skutek jak i zazwyczaj wywiera bezkrólewie; wszyscy pretendenci postawili swoją kandydaturę i każdy ogłosił swój program, w nadziei że będzie wybrany. Odprawiła wszystkich nie chcąc nawet wysłuchać, i okazała im swoje oburzenie iż będąc niby przyjaciołmi domu, pragną nieszczęście wyzyskać na swoją korzyść.

Tak kategoryczna odprawa wywołała ogólne niezadowolnienie, z którego znowu wyrodziły się ob-

mowa i potwarz: ze wszech stron tak uwłaczające jej zaczęły rozchodzić się wieści, iż zniewolona była zaprzestać przyjmować pretendentów. Wtedy dotknięci w miłości własnej, wielbiciele zamienili się w nieprzyjaciół, a nie mogąc wykazać udowodnionych faktów, zmyślali i rozgłaszali najzłośliwsze potwarze. Najzagorzalsi pretendenci, którzy wszelkich używali środków żeby dojść do celu, odprawieni zamienili się w surowych moralistów. Kobiety zazdroszczące jej powodzenia, piękności, zbytku, elegancyi, przepychu jakim je zaćmiewała, uradowane że mogą zemścić się na tej co im odbierała mężów, synów lub kochanków, przygniatały ją nieubłaganą pogardą.

Obok rozlicznych plotek, rozeszło się po całej Wenecyi że zastępcą hrabiego jest jakiś tajemniczy nieznajomy, który przyjmowany bywa z największemi ostrożnościami, tak że nikt zobaczyć go nie mógł w tem tyle było prawdy, iż rzeczywiście sir Norwich odwiedzał ją sekretnie, aby nie wystawiać jej na gniew hrabiego.

W tem odebrała list Cipriana, donoszący jej o prędkim powrocie. Gdy się sir Norwich dowiedział o tem, przeraził się niewymownie iż zbliża się chwila stanowczej jego przegranej, a i rozłączenie z Sarą wielką sprawiłoby mu przykrość. Sara także rozpłakała się na myśl że przestanie widywać się z przyjacielem który zawsze był dla niej tak dobrym i względnym, i pomimo że ją kochał nie narzucał się ze swoją miłością. Przychodził do niej codziennie wieczorem przynosząc bukiety i cukierki; nie wspominał o swoich uczuciach, a wesołą rozmową starał się zabawić ją i rozerwać. Zasiadali do herbaty jak dobrzy starzy znajomi, każde w swoim fotelu, w przyzwoitem od siebie oddaleniu, sir Tomasz palił spokojnie cygaro, Sara zajadała cukierki.

Sara przyzwyczaiła się powoli do tych codziennych odwiedzin, stanowiących jedyną w osamotnieniu jej rozrywkę; jeźli niekiedy sir Norwich spóźnił się nieco, co chwila niespokojnie spoglądała na zegar, a gdy nareszcie przybył, ostro łajała go za opóźnienie.

Przyzwyczaiła się do nieobecności i cierpliwie oczekiwała powrotu hrabiego; Anglik znowu sądząc go zawsze niebezpiecznie chorym, nigdy o nim nie mówił, tak więc list zwiastujący blizki powrót Cipriana, spadł jak bomba w pośród biwakowania, spowodował popłoch i zamięszanie, dał uczuć potrzebę przeniesienia namiotów.

Sir Norwich zbudził się nagle z rodzaju słodkiego letargu, w jaki zapadł od jakiegoś czasu; w obec nieprzewidzianego i naglącego niebezpieczeństwa, poznał jak nieoględnie jest dać się unosić potokowi życia, nie troszcząc się o mogące nastąpić wylewy; zobaczywszy się w wodzie po szyję, blizkim utonięcia, spostrzegł z przerażeniem jak wiele czasu zmarnował. Śmiało tedy rzucił się wpław, starając się natychmiastowo dopłynąć do brzegu, zajął dobrą pozycyę, ustawił swe bateryę w szyku bojowym i gotów dać ognia do nieprzyjaciela, rozpoczął utarczkę.

— Otóż zbliża się katastrofa! rzekł do Sary... Nie potrzebuję powtarzać ci wszystkiego co mówiłem przyjechawszy do Wenecyi, a wiesz równie dobrze jak ja że w owej nocnej niby awanturze w villa Hortensia, nie ma cienia prawdy. Zapewnie dowiedziałaś się już od swego korrespondenta że hrabina Berta jest równie cnotliwa jak piękna, a obecnie już najniezawodniej i hrabia Cipriano jest o tem przekonany. Jeźli więc przyjeżdża, to jedynie dla dotrzymania danego ci przyrzeczenia, ale niemylnie z myślą chwycenia się pierwszego lepszego pozoru, aby zerwać ten stosunek... Wiesz dobrze jakiemi tu obrzucono cię potwarzami, a większa część twoich dawniejszych z niczem odprawionych wielbicieli, wyczekuje niecierpliwie sposobności zemszczenia się na tobie za rany zadane ich pysze i miłości własnej. Wystawiona jesteś na liczne niebezpieczeństwa, i może czeka cię przyszłość pełna upokorzenia i goryczy. Zastanów się nad tem.

Ale wszystkie te dowodzenia nie trafiły do przekonania Sary.

— Skoro Cipriano wraca, odpowiedziała, to dowód że mnie kocha jeszcze i chce stanowczo skończyć ze swem niby małżeństwem... Pozostanę mu więc wierną.

— A jeźli przybywszy tu i dowiedziawszy się rozgłoszonych o tobie potwarzy, uwierzy im równie łatwo jak uwierzył fałszywym pozorom i najniedorzeczniejszej baśni oskarżającej hrabinę, najniewinniejszą z kobiet — jakim sposobem przekonasz go i unikniesz jego gwałtownego gniewu?

To dało jej wiele do myślenia; zacisnęła pięście i zawołała:

— Rzeczywiście jest on nader gwałtowny i prawie wściekły w swym gniewie!... a ja tak chciałabym żyć spokojnie!... jakaż to pożądana rzecz spokojność!...

Zobaczywszy że udaje mu się zrobić wyłom; przypuścił silniejszy atak i dał ognia ze wszystkich swoich dział.

Odmalował jej w najczarniejszych barwach życie jakie ją czeka; przedstawił iż po pierwszych uniesieniach powrotu, nastąpi chłód i zobojętnienie; iż nieustannie zmuszona będzie uniewinniać się ze złośliwych oskarżeń i ciągle zostawać jakby pod śledztwem, łamać sobie głowę nad możnością zniweczenia powzięytch o jej wierności powątpiewań; że życie jej stanie się teraz jednym nieprzerwanym ciągiem sprzeczek i kłótni — nie mówiąc już o tem iż niepodobna aby w gruncie duszy nie dręczyły ją wyrzuty sumienia, iż zatruła życie prawej żony!

Dalej starał się dać jej pojąć jak hańbiącą ściąga na siebie odpowiedzialność w obec społeczeństwa i rodziny... że podobne położenie nie może trwać długo, i prędzej czy później, dla słusznych lub urojonych powodów, Cipriano opuści ją na zawsze... Cóż jej wtenczas pozostanie? nieprzyjaciele dworować będą, a ona zostanie sama, biedna i opuszczona!...

Smutny ten obraz przejął ją dreszczem przerażenia, rozdarła trzymaną w ręku chusteczkę i rozpaczliwie załamała ręce.

Widząc to, sir Norwich zbliżył się aby ją pożegnać.

— I ty, sir, opuszczasz mnie także? rzekła z przestrachem i gniewem zarazem; oddalasz się zostawiając mnie samą, rzuconą na łup niepewności i zwątpienia.

— Obecność tu moja, odrzekł poważnie, mogłaby tylko pogorszyć twoje położenie i może nowe jeszcze sprowadzić zawikłania i nieszczęścia.

— Prawda, odrzekła, masz sir zupełną słuszność.

— Żegnaj mi więc, Saro, rzekł głosem zdradzającym wzruszenie... za nadto byliśmy szczęśliwi... takie szczęście nie mogło być trwałem. Sądziłem że potrafię przekonać cię iż wszystko nakazuje ci opuścić Włochy... daremne były moje życzliwe usiłowania... niech się więc spełni zgubne przeznaczenie twoje—nie mogąc zapobiedz, mogę tylko ubolewać nad tobą... Za trzy dni będę w Paryżu — tam jako wolny od wszelkich obowiązków, mógłbym zapewnić ci los godny zazdrości... na łonie twej ojczyzny... wśród spokoju i wszelkich uciech jakie tylko zbytek i bogactwo zapewnić może...

— Dość!... dość!... zawołała zrywając się, jakby niewidzialną popchnięta sprężyną, dodając z gwałtownem wzruszeniem:

„Stało się!... niech się spełni moje przeznaczenie!“

Potem, drżąca ze wzruszenia, przyciskając ręką gwałtownie bijące serce, postąpiła śpiesznie ku sir Norwich'owi, i rzekła stanowczym głosem:

— Jedźmy natychmiast!... natychmiast!... jestem twoją na zawsze!

I rzuciła się w jego objęcia. Przycisnął ją do serca i złożył na jej ustach gorący pocałunek.

Nazajutrz przybył do Wenecyi hrabia Cipriano. Wysiadłszy z wagonu, rzucił się do gondoli i kazał płynąć do pałacu w którym mieszkała Sara. Służąca jakaś otworzyła drzwi; zobaczywszy hrabiego pobiegła po list który kazano jej oddać mu do rąk własnych.

Zadziwił się bardzo że kochanka nie wybiegła na jego powitanie; a gdy służąca podała mu list i poznał na adresie pismo Sary, ogarnął go jakiś niewysłowiony niepokój. Zapanował jednak nad sobą wszedł do pokoju, zamknął drzwi za sobą, rzucił się na fotel, zawahał się chwilę zanim pozna los oczekujący go, nareszcie zdobywszy się na odwagę, zaczął czytać:

„Cipriano, oboje byliśmy w błędzie, żona twoja jest cnotliwa, niewinna i kocha ciebie—obowiązkiem moim ustąpić jej z drogi. Wiele, wiele poświęciłeś dla mnie... całe życie wdzięczną ci za to pozostanę, ale czas już zerwać niemożliwy odtąd stosunek. Nie jesteś już wolnym. Przysięgam że byłabym pozostała ci wierną do ostatniej życia chwili, i jedynie tylko głębokie zastanowienie się i poznanie prawdziwego twego stanowiska, skłoniło mnie do powzięcia tego stanowczego postanowienia.

„Bądź szczęśliwy z żoną twoją i nie miej mi za złe że odjeżdżam z sir Norwich'em, z tym jedynym przyjacielem jaki mi pozostał w nieszczęściu. Ja sama prosiłam go aby mnie ratował; zawsze dotąd umiał mnie szanować, oddaje on także sprawiedliwość nieposzlakowanej cnocie twojej żony, i ręczy honorem że jej nie widział nigdy od czasu zamąż-pójścia. Więcej od niego wymagać nie możesz—a ja jestem wolna. Mój wyjazd z Wenecyi w przeddzień twego przybycia, jest ostatnim dowodem moich dla ciebie uczuć, jest to publiczne zadość-uczynienie i pokuta za winę jakiej się dopuściłam odwracając cię od spełnienia ciążących na tobie obowiązków, jest to dowód szacunku mego dla twego nazwiska, rodziny i prawa. Żegnam cię na zawsze!

„Sara.“

„*Post-scriptum*. Załączam kluczyk od szkatułki w której znajdziesz wszystkie ofiarowane mi klejnoty i przedmioty wartościowe, a których nie mam już prawa ani nosić ani zatrzymać. Zachowam tylko pierścionek ze szmaragdem, przypominający mi owe szczęśliwe chwile, kiedy miłość nasza nikomu nie czyniła krzywdy.“

Skończywszy czytać, Cipriano uderzył się w czoło i zawołał z rozpaczą:

— Sam! sam jeden zostałem na świecie!...jakąż to straszną próżnię zostawia w mej duszy odjazd tej kobiety!...

I jak dziecko, gorzkiemi zalał się łzami.

Ochłonąwszy nieco, zaczął chodzić po pustem

mieszkaniu, w którem wszystko przypominało mu Sarę.

Zdało mu się że ją widzi w każdym kącie; zatrzymywał się zapatrzony w meble i w miejsca przypominające mu rozkoszne ubiegłe chwile i przysięgi niezłomnej, dozgonnej wierności. Obicia pokrywające ściany, obrazy, statuetki zdobiące salony, wszystko to przemawiało wymownym, zrozumiałym dla niego językiem. Rękawiczki pozostałe na stole, zdradzały kształt ręki Sary, flakonik ulubionych jej perfum, wydawał jeszcze swą woń upajającą; w ciszy opustoszałego pokoju rozlegał się odgłos biegu zegara, który wydzwaniał kiedyś godziny szczęśliwej miłości, a dziś wskazuje z równą obojętnością godziny samotności i gorzkiego rozczarowania.

Wszystkie te świadki dni minionych bezpowrotnie, bezmierną boleść budziły w jego duszy. Jakżeby pragnął pochwycić jeszcze te rozkosze które uleciały bez nadziei! a obok gorzkiego udręczenia jakiem napawała go ta ucieczka kochanki, i miłość własna jego boleśnie była dotkniętą, bo sir Norwich zwyciężył go dwukrotnie, i dotrzymał przyrzeczenia, uczynionego w klubie mediolańskim.

„Jedną z dwóch mieć będę.“

Wyzwał go na pojedynek w mniemaniu że musi pomścić uczynioną sobie zniewagę; dla mrzonki poniósł ciężką ranę i naraził życie, a tymczasem zostawił przeciwnikowi wolne pole i przystęp do łatwiejszej zdobyczy... Teraz gdy utracił Sarę, zdawało mu się iż wolałby był przeniewierzenie się żony.

— Opuściła mnie! wołał, uciekła z sir Norwich'em.. któż wie gdzie się udali!... a ja zostałem sam... sam, chory jeszcze... i znieławiony!... Ach! gdybym był zginął w tym pojedynku, nie cierpiałbym tak straszniel...

Trudy podróży i gwałtowne wzruszenie wywołane tak nieprzewidzianym ciosem, oddziałały bardzo silnie na jego nadwątlone siły. Uczuł się tak osłabionym iż musiał się położyć do łóżka, i zostawał pod opieką kobiety pozostawionej dla pilnowania mieszkania, nie okazującej mu ani gorliwości ani współczucia—przyszły mu tedy na myśl gorliwe starania doktora Gabrielli i Berty, których z własnej winy jest teraz pozbawiony.

Pod wpływem podejrzeń zarówno śmiesznych jak wstrętnych, zaślepiony wyuzdaną namiętnością, sam, na zimno zawyrokował rozłączenie swoje z żoną, nie chcąc zrozumieć że podobne postąpienie po tak troskliwej opiece i trudach jakie poniosła Berta czuwając nad nim we dnie i w nocy, jest co najmniej potworną niewdzięcznością. Od dzieciństwa przywykły do samowoli, nie chcący znać żadnych przeszkód, żadnego wędzidła dla swych żądz i zachciewek, nie umiejący nagiąć się do żadnego obowiązku, uznał za rzecz nader prostą odtrącenie niewinnej żony, zachowując jedynie jakieś pozory, i to nie przez wzgląd na nieszczęśliwą której zwichnął całe życie ale dla uniknienia kłopotów procesu.

Lecz jeźli są niegodziwości które można popełniać bezkarnie, nie podpadając pod wyroki sądowe, nie tak łatwo uchodzi pogwałcenie praw moralnych, i kara przedstawia się często wprost jako naturalne następstwo popełnionej winy. Tak i Cipriano, sam jeden w pysznym apartamencie, otoczony zbytkiem, uczuwał przecież często brak najpotrzebniejszych rzeczy. Służąca udała się na spoczynek, nie przyniosłszy mu wody, i na stoliku przy łóżku jego stała kosztowna kryształowa karafka—ale próżna. Chciał zapalić świecę—nie było zapałek; musiał więc leżeć w ciemności. Wywiązała się gwałtowna gorączka; zasychało mu w gardle; ciało było rozpalone.

Dręczony palącem pragnieniem, chciał podnieść się i zawezwać pomocy, ale nie miał siły wstać z łóżka; drżał jak w febrze, wszystkie członki jego stały się bezwładne: byłby zapłacił na wagę złota, każdą kroplę wody do odwilżenia ust. W uniesieniu rozpaczy, probował krzyczeć—nikt go nie słyszał.

Oddech jego stawał się coraz trudniejszym, głowa ciężała, czuł straszny szum w uszach, zawrót go ogarnął—i zupełnie stracił przytomność.

Wszedłszy rano do pokoju, służąca zastała go na w pół-żywym zaledwie. Pojmując że stan jego wymaga prędkiego ratunku i umiejętnego nadzoru, przywołała doktora i pobiegła do szpitala po infirmera.

Hrabia pare tygodni leżał bezprzytomny, jedynie kupionem otoczony staraniem; przyszedłszy nieco do siebie, przez chwilę miał myśl kazać zatelegrafować do doktora Gabrielli, ale wstydząc się położenia swego, wolał cierpieć samotnie. Tak więc wśród dostatku i zbytków jakie zapewniał mu wielki jego majątek, mógł pozazdrościć losu biednego wyrobnika, który, jeźli choroba powali go na łoże w nędznem poddaszu, ma przynajmniej tę pociechę że otaczają go starania wiernej towarzyszki życia.

Gdy nareszcie po długich cierpieniach, zaczynał się podnosić, kazał zawiadomić znajomych o swoim powrocie do zdrowia, spodziewając się że będą go odwiedzać—ale wszyscy prawie poprzestali na przysłaniu mu biletów wizytowych, jako powinszowanie wyzdrowienia. Znękany długiem osamotnieniem, postanowił wyjść z domu, i przekonał się z boleścią iż dotyka go poniżający ostracyzm. Jedni unikali go wyraźnie, inni spoglądali z urąganiem, a jeźli ktoś nie mógł go już ominąć, zaledwie unosił kapelusza, nie podając ręki.

To zmusiło go przechadzać się tylko w miejscach najmniej uczęszczanych; nie śmiał pokazywać się na placu Ś. Marka, chyba gdy noc zapadła, jak złoczyńca ukrywający się w ciemności. Chodził zawsze samotny, spoglądając z zazdrością na szczęśliwe pary które mijając go szeptały coś sobie, oraz na wesołe gromadki młodzieży.

XVI.

O tejże samej godzinie, Berta, samotniejsza jeszcze od niego, stała na balkonie w villi Hortensia, i wlepiwszy oczy w gwiaździste sklepienie, zamarzona szukała czegoś w pośród gwiazd... Szukała rozwiązania cudownej tajemnicy nieskończoności, ponieważ tylko w życiu przyszłem mogła znaleźć koniec cierpień swoich, a jedyną jej pociechą była wiara w nieśmiertelność duszy i rozważanie arcydzieł Stwórcy.

Nazajutrz rano opowiadała doktorowi myśli i marzenia swoje; nie chcąc zasmucać ją zaprzeczeniami wysnutemi ze swych pozytywnych teoryj, doktór najczęściej słuchał w milczeniu, często jednak mimowolnie zdradzał swój scepcytyzm.

Wtedy Berta gniewała się i łajała go za jego ateuszostwo i niedorzeczne teorye; żywo dotknięty zapominał o dobrych postanowieniach, i na obronę swej tezy przywodził niezbite zdaniem jego argumenta. Wysłuchawszy ich uważnie, Berta odpowiadała:

— Te długie dowodzenia pana, przekonały mnie najzupełniej — o tem właśnie czego zaprzeczasz. Dowiodłeś mi pan że jasne światło zawarte w twoim umyśle, nie może być czemś śmiertelnem; znikomem.

— Fosfor... fosfor i nic więcej powtarzał.

— Więc sądzisz pan że po śmierci naszej, z materyi stanowiącej za życia nasze myśli, będzie można wyrabiać zapałki?... i poruszasz wszelkie siły umysłu i duszy, aby mi dowieść że jej nie masz.

— Nie obiecuję sobie tego bynajmniej... przeciwnie miło mi jest spodziewać się że piękne marzenia pani mogą stać się rzeczywistością, i że kiedyś wolno ci będzie żyć wiecznie w pośród gwiazd, wyswobodzonej z cielesnej powłoki i z więzów przykuwających ją do ziemi... Myśli pani wydają mi się uroczemi poezyami... zgodnie z tem uznaję że nie jestem czemś materyalnem — ale, naprzykład wonią róży...

— Ach! doktorze, woń róży nie zdolna wstrząsnąć światem — a myśl może tego dokonać... tak, z pomocą myśli wydobywa się złoto z kopalni, przebija skały Alp.., maluje jak Rafael, pisze się *Boską komedyę*, mierzy odległość jednej gwiazdy do drugiej... waży świat.

— Prawda... wielka prawda... trudno zaprzeczyć, trzeba przyznać się że ta siła nie dająca się ująć, a tak potężna... ma w sobie coś tajemniczego.

Potrząsał głową i dodawał:

— Możebyśmy poszli na przechadzkę.. lepiejby to było niż prowadzić takie rozmowy... zdrowie pani wymaga powietrza i ruchu.

— Czy i fosforu? pytała ze złośliwą minką.

— O nie!... uchowaj Boże!.. posiadasz go pani więcej niż potrzeba do podpalenia największego gmachu... Nie dobrze jest oddawać się zbytecznie marzeniom wyobraźni... ciągła praca umysłowa podkopuje zdrowie. Taka samotność, połączona z rodzajem kontemplacyjnej bezczynności, ubezwładnia członki i nuży zbytecznie umysł... nie trzeba pozwalać aby ostrze zużywało zupełnie futerał.

— A! gdybyż mogło zużyć go zupełnie!... życie to nie warte żalu!

— Ty pani, tak młoda jeszcze że zaledwie zaczynać żyć, i już uważasz życie za ciężar którybyś pragnęła zrucić.

— I cóżem temu winna!... Czyliż szczęście uśmiechnęło się choć raz młodości mojej?... i po cóż mi żyć? Pan który wszystko wiesz, odpowiedzże mi na to.

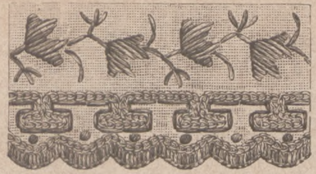
— A! gdzie tam... przeciwnie —ja nic nie wiem.

— Ach! więc sam pan to przyznajesz nareszcie— i masz słuszność... Bo i cóż możesz wiedzieć? co może wiedzieć najuczeńszy mieszkaniec naszego małego światka, który w porównaniu do niezmierzoności wszechświata, podobny jest do ziarnka piasku rzuconego w bezgraniczną przestrzeń?... Co możesz pan wiedzieć, nie znając nietylko co się znajduje po za donioślością twego teleskopu, ale tego nawet co uczuwasz w samym sobie, nie zbadawszy tej tajemniczej siły którą zowiemy życiem. Znasz pan jedynie zewnętrznego człowieka... a nie starasz się dojrzeć najwznioślejszej jego części... tej cudownej iskry nadającej wartość mowie... Człowiek jest tylko zarozumiałym nieukiem... a uczony zaprzeczający duszy — głupcem! Daruj mi to wyrażenie, doktorze; ja nic nie umiem; a jednak mimo prostoty mojej czuję w sobie głos sumienia, mówiący mi że nie kończy się wszystko z życiem.

— Tem lepiej, jeźli tak. W takim razie pewnie w drugiem życiu nie popełniłabyś pani niedorzeczności pójścia za mąż.

— Kto wie.

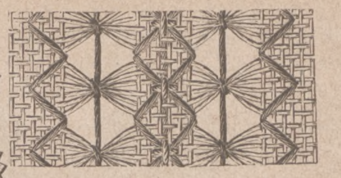
(d. c. n.)



N. 6. Szlaczek haftowany na krepie do ryc. 5.



N. 2. Lambrekina do ryc. 3. Wyszycie ze sznureczka szydełkowego.



N. 14. Kratka do ryc. 15.

Opis do N-ru 7.

(Dokończenie).

N. 5—6. i ryc. 42 w N. 8 Tygodnika. **Czepeczki** dwa negliżowe.



N. 1. Szlaczek do ryc. 17 w N. 7.



N. 11. Szlaczek do ryc. 10.

N. 5. Czepeczek muślinowy ubrany wstążką.

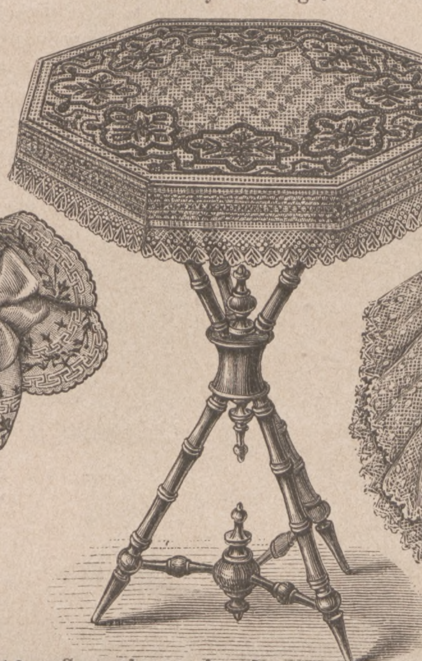
Fason czepeczka stanowi trójkąt sztywnego tiulu, objęty agremanem i wstążeczką, mający w prostym brzegu 21 w skośnych po 12 cent. długości. Brzeg prosty obraca się do tyłu, oszywa lekko przyfałdowaną, 4 cent. szeroką koronką i zdobi kokardą ze wstążki różowej, 4 cent. szerokiej; brzegi skośne dane do przodu ogarnirowane są nadmarszczonem, drobnem plisowaniem z muślinu, oszytego 1 centym. szeroką koronką. Denko okrągłe muślinowe mające 38 cent. średnicy, z tyłu skośnie do dołu zwężone, w koło koronką oszyte i sfałdowane w sposób na ryc. 5 wskazany, przykrywa garnirunek tylny czółka, któren jednak przez klarowny muślin przegląda. Denko opasane jest przewiniętą wstążką atłasową, z której z przodu i z tyłu upięte kokardy, pomiędzy wachlarzowo naszytą koronką.

N. 6. Czepeczek ubrany trójkątną chusteczką. Zobaczyć model na ryc. 42 w N. 8 Tyg.

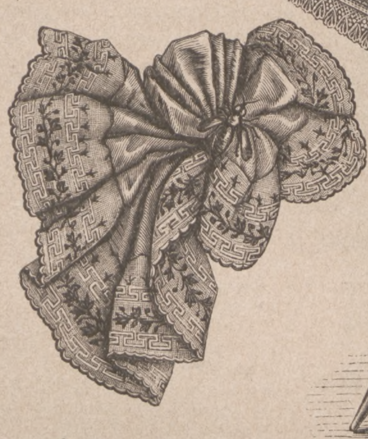
Trochę owalne denko muślinowe czepeczka, w koło przyfałdowane, z przodu wznosi się na dyjademowem czółku ze sztywnego tiulu, objętego agremanem ze wstążeczką, mającem 34 centym. długości, w środku 7 cent. szerokości, w górnym brzegu prosto ściętem w dolnym stopniowo od środka ku końcom zwężonem. Czepeczek ogarnirowany jest 2 razy plisowaną, 3 i pół centym. szeroką koronką d'esprit i opasany ciemno karmazynową 4 cent. szeroką przewiniętą wstążką atłasową, z przodu związaną na kokardę. Denko przykrywa jedwabna w guście tureckim chusteczka, z ciemno karmazynowym 4 centym. szerokim szlakiem, z której część większa służy na czepeczek, mniejsza na kokardę krawatową. Na ryc. 42 w N-rze 8, podajemy miary i wskazujemy sposób przecięcia chusteczki, którą garniruje się plisowaniem z koronki. Następnie brzeg skośny obraca się do przodu denka, a końce łączą się z tyłu kokardą, róg tylny wywinąć w górę podług oznaczonej linijki w środku dać kontrafałdę 1 cent. szeroką, podnieść nieco w bufkę i przyczepić z brzegów gdzie niegdzie do czepeczka.



N. 12. Szlak wyszyty na krepie r. 8.



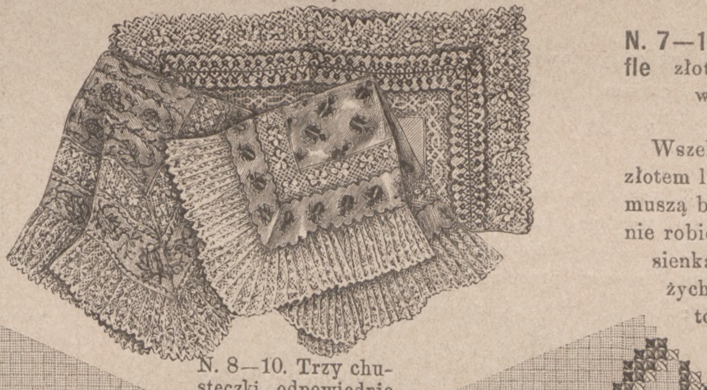
N. 13. Serwetka na okrągły stoliczek, wyszyta krzyżykami. Patrz ryc. 15.



N. 5. Żabot jedwabny z haftowanym szlakiem. Patz rycina 6.



N. 7. Żabot z tiulu i koronki.



N. 8—10. Trzy chusteczki odpowiednie na negliżyki.

N. 7—10. Pantofle złotem haftowane.

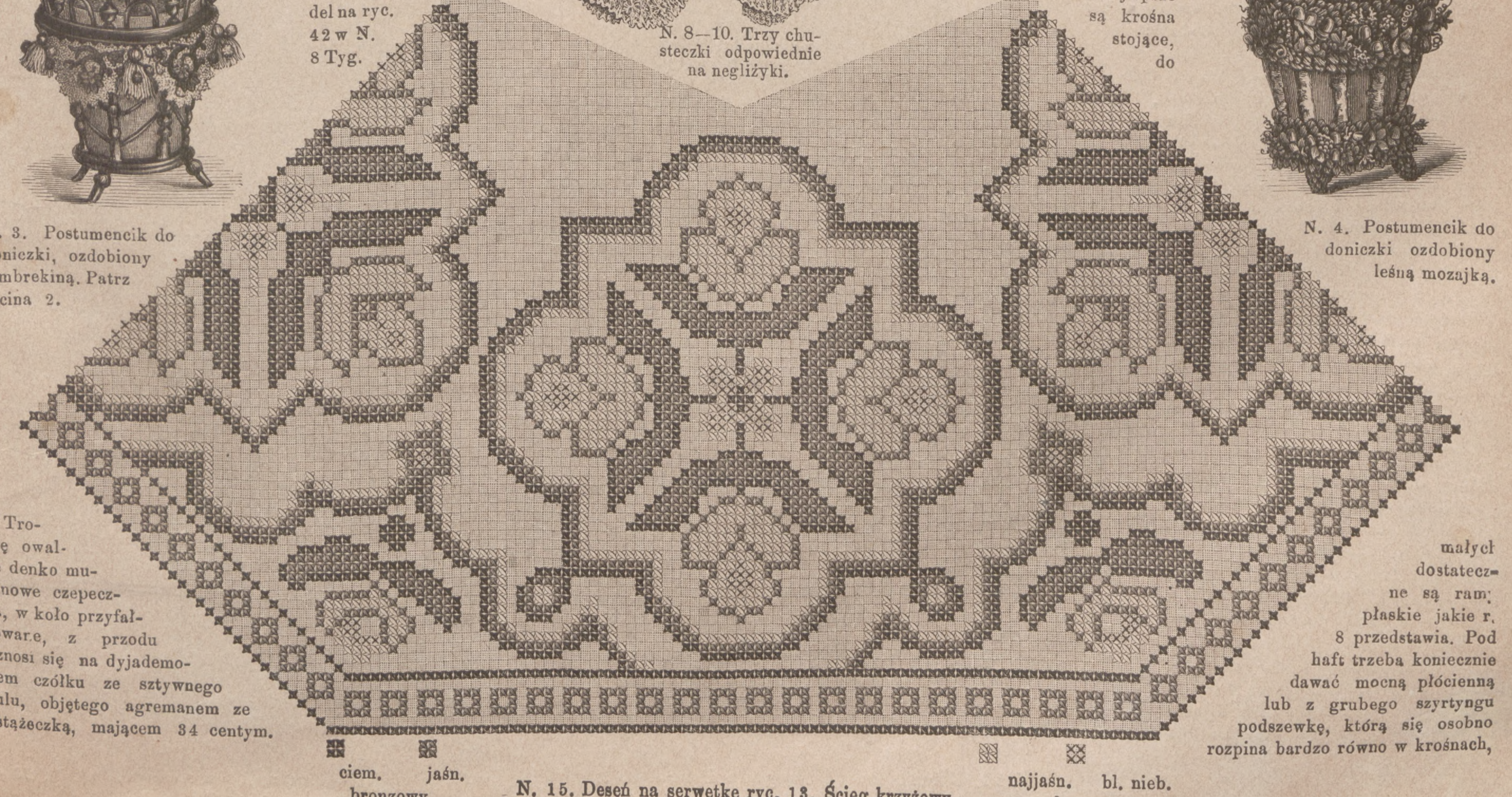
Wszelkie chafty złotem lub srebrem muszą być koniecznie robione w krosienkach; do dużych przedmiotów najlepsze są krośna stojące, do małych dostateczne są ramy płaskie jakie r. 8 przedstawia. Pod haft trzeba koniecznie dawać mocną płócienną lub z grubego szyrtyngu podszewkę, którą się osobno rozpina bardzo równo w krośnach,



N. 3. Postumencik do doniczki, ozdobiony lambrekiną. Patrz rycina 2.



N. 4. Postumencik do doniczki ozdobiony leśną mozajką.



N. 15. Deseń na serwetkę ryc. 13. Ścieg krzyżowy.



N. 19—21. Ubrania na bal kostjumowy.

N. 19. Kostjum fantazyjny wschodni. N. 20. Kostjum żokejski. N. 21. Kostjum młodej rzymianki.

strony na lewą (w sposób na rycinie 10 wskazany), następnie w miejscu gdzie nitkę złotą przeciągnąć trzeba, wkłada się igłę ze sznureczkiem z lewej strony na prawą, obejmuje się nitki pentelką widoczną na ryc. 10, wkłada igłę w tą samą dziurkę i mocnem pociągnięciem przeciąga nitki na lewą stronę i przyszywa jedwabiem do podszewki, a sznurek spuszczony z lewej strony służy do dalszego użytku. Rzucik na tle i środkowe punkty w kwiatkach robione są bajorkiem ciętym w kawałki odpowiedniej do deseniu długości i przewłóczonym wskróś nitką jedwabiu.

N. 15—16. Czwarta część patarafki albo przykrycia na lampę. Haft kolorowy na suknie.

Deseń w naturalnej wielkości w jednej czwartej części podany, łatwo można do każdej potrzebnej miary z boków powiększyć. Robota jest bardzo łatwa i pospieszna, bo składa się z poprzecznie z wierzchu przyszywanych nitek włóczki, ściegów długich, łańcuszkowych i supełków, a piękność na harmonijnym doborze kolorów zależy. Model robiony był na tle ciemno oliwkowem, brzegi wycięte w zęby, nad któremi w odstępie 1-go cent. odpowiednie zęby wydziergane były dwunitkową bronzową filozelą. Całej grubości nitka jasnej filozeli przyszyta jest nad zębami jedwabiem takiegoż koloru. Linije proste, skośne kwadraty i gwiazdy na tle robione są dwoma jasno zielonemi cieniami włóczki, krzyże w środku kwadratów robić jedwabiem ponsowym przewiązane krzyżykiem złotego koloru. Półkola z włóczki wodno zielonego koloru, w nich długie łańcuszkowe ściegi jedwabiem niebieskawo popielatym, supełki ponsowym. Drobne rzuty na tle i gałązki łańcuszkowe czerwonawo bronzowym jedwabiem w dwóch cieniach. Sute kwasty z rozczesanej włóczki ponsowej zielonej, niebieskiej i białej zdobią brzegi patarafki, jak na ryc. 15.



N. 16. Sukieneczka dla dziewczynki lat 4—6. N. 17. Ubranie dla chłopca lat 5—7. N. 18. Sukieneczka princesse z przodami formą kaftanikową.

N. 17 i ryc. 1 w N. 8. **Serwetka** tkana fabrycznie wraz z frendzlą i ozdobiona wyszyciem kolorowem.

Takie serwetki kwadratowe lub okrągłe mające 20—25 cent. średnicy służą jako patarafki pod flakony, wazony lub t. p. dostać ich można na tuziny z odmiennemi na każdej figurkami, które odznaczone bywają fabrycznie kolorami, albo też wyszywają się ręcznie cienkim jedwabiem, ściegiem podłużnym sznureczkowym.



N. 24. Suknia wieczorowa ze strojnie przybraną spódnicą. Patrz ryc. 43.

N. 25. Suknia aksamitna. Patrz ryc. 34 w N. 7.

przyszywszy z jednego boku do przybitej taśmy, a z 3 stron sznuruje cienkim szpagatem. Przed sznurowaniem brzegi zakłada się podwójnie i wszywa cienki sznureczek, ażeby przy silnem wyciągnięciu nie pękały. Podszewkę od spodu smaruje się równo gęsto rozrobionym klajstrem, gdy takowy wsiąknie w płótno, zbiera się zbywającą ilość tępym nożem, tak ażeby tylko równa cienka powierzchnia pozostała. Gdy klajster przeschnie wówczas dopiero przykłada się materyał do haftu; jeżeli to jest atłas, aksamit lub sukno, trzeba go bardzo prosto i gładko przypiąć a następnie przyszyć w koło. Skórkę zaś lub safian przykleja się do podszewki; powtarzamy jednak iż cała piękność roboty, zależy od bardzo starannego i prostego rozpięcia materyału. Brzegi podszewki powinny w koło wystawać z pod tła. Deseń można rysować przed wszyciem w krośna, za pomocą wykłutego na bibułce szablonu, któren posypuje się pudrem przez woreczek, a następnie odznacza farbą olejną, albo blejwasem rozpuszczonym z gumą. Dla oszczędzenia złota lub srebra haft płaski nie przejmuje się na lewą stronę, tylko przyszywa jedwabiem z wierzchu. W miejsce wywodzenia figury deseniu wycina się z cienkiej tektury i przykleja do tła, w sposób na ryc. 9 wskazany. Nitką podwójną złotą do haftu, nawija się równo na widełki drewniane 14 cent. długie, jakie w zmniejszeniu przedstawia ryc. 9, następnie trzymając takowe w lewej ręce rozwija się stopniowo. Złoto przyszywa się cienkim żółtym a srebro białym jedwabiem, nawleczonym podwójnie w cienką igłę. Nitki złote muszą być równo i ściśle jedne przy drugich układane ażeby tektura nie przebijała z pod hawtu. Przy zaczęciu i zakończeniu każdej figury deseniu, trzeba nitki złote lub srebrne na lewą stronę przeciągnąć, w tym celu nitkę grubego kordonkn skręca się podwójnie, nawłóczy w grubą igłę, daje na końcu supełek, przez zbywające tło podszewki przeciąga się sznureczek kordonkowy z prawej



N. 22. Ubranie głowy czarnogórki. Patrz ryc. 19.



N. 27. Ubranie dla druchny lub wieczorowe. Patrz ryc. 28.

N. 26. Ubranie ślubne.

N. 28. Ubranie dla druchny lub wieczorowe. Patrz ryc. 27.

Na ryc. 1 w N-rze 8, podajemy próbkę rzuciku do wyszycia na szlaku.

N. 19—20. Suknia balowa ze stanikiem bawetowym.

Pod suknię z jasno niebieskiego tarlatanu dana jest spódnica tarlatanowa, mająca z przodu 104 z tyłu 112 cent. długości a 200 szerokości. Suknia w koło oszyta jest dwoma 8 cent. szerokiemi plisowanemi falbankami i wodą 16 cent. szeroką, zakończoną po brzegach wodami 3 cent. szerokiemi. Ten garnirunek powtarzany jest jeszcze dwa razy z przodu i zboków. Dalsze przystrojenie stanowią panier pod bawetem przyszyte a z tyłu przymarszczone i pod prosty podpinany bryt podchodzące. Bryt i panier garnirowane są plisowaniem i riuszą. Stanik bawetowy 6 cent. na biodra zachodzący, zrobiony jest z faille takiego jak suknia koloru i sznurowany z tyłu. Rękawki krótkie bufowane, berta fałdowana oszyta plisowaniem.

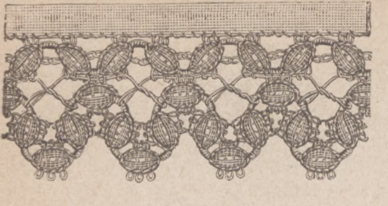
N. 21—22. Ubranie balowe.

Może być z gładkiego tiulu lub tarlatanu, albo z dodaniem deseniowej lub złotem albo srebrem przerabianej gazy. Garnirunek stanowią falbanki 7 i riusze 5 cent. szerokie, z przodu i z boków w górę podniesione. Nad garnirunkiem dana draperya w poprzeczne fałdy ułożona, przez środek przodu riuszą przeszyta, z boków pod zręcznie upinany tylny bryt zachodząca. Kwiaty i wstążki dopełniają przystrojenie. Stanik z przodu z bawetem, z tyłu z niezbyt długą baskiną, z boku nię widocsie zapinany, jest z przodu wycięty i szmizetką z jedwabnego tiulu dopełniony, w koło riuszą oszyty a na ramionach kwiatami lub kokardami spięty.

N. 23. Gorset z białej dymy lub z cienkiego dryliszku, w gurze i z przodu na zapięciu brykli, ozdobiony haftowaną batystową falbanką.



N. 23. Ubranie głowy sułtanki. Patrz ryc. 19



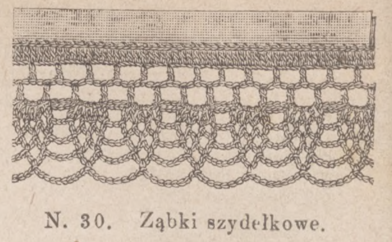
N. 29. Ząbki z medaljonowej tasiemeczki.

N. 23-24. Majtki i krótka spódniczka.

W zimę w miejsce flanelowych ciepłych spódniczek i majtek robią takowe z białego jedwabnego drelichu, zwanego „Surah“ na batystowej podszewce. Materjał ten jest bardzo miękki i ciepły; garnirunek stanowią koronki i plisowanie z materyi. Majtki i spódniczka powinny być z jednakowego materjału i z jednakowym garnirunkiem. Rycina 23 przedstawia spódniczkę białą flanelkową ozdobioną jedwabnem plisowaniem i niciałą koronką.



N. 31. Poduszka do kanapy. Patrz ryc. 32—33.



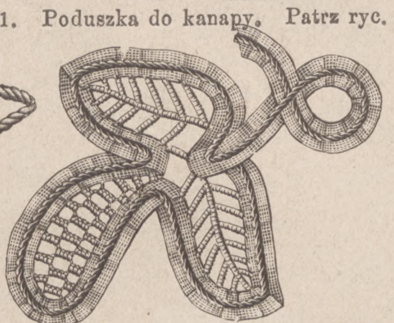
N. 30. Ząbki szydełkowe.

N. 26. Turniura przypinana do spodniego stanika.

Urządza się z prostegokawałka perkalu lub materyi, mającego 60 cent. szerokości a 31 długości, lekko podwatówanego i przepikowanego, w górze złożonego w podwójną kontrafałdę i wszytego w pasek 4 cent. szeroki a 21 długi. Do stanika w połowie długości baskiny, przyszyte są 3 guziki do przypięcia turniury.



N. 35. Sznur do wachlarza.



N. 32. Listek do naszycia na tle poduszki ryc. 31.



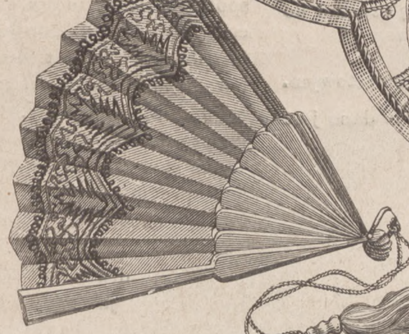
N. 34. Oprawa à la Pompadour do balowego bukietu. Patrz rycina 41.



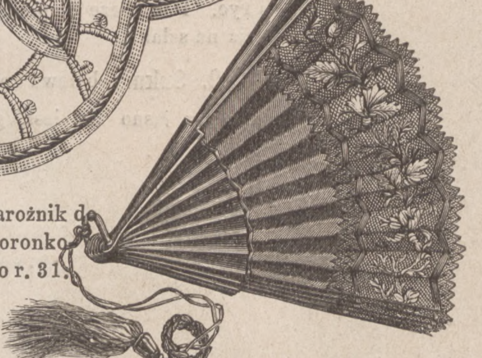
N. 33. Narożnik do szlaku koronkowego do r. 31.

N. 27 — 28. Balejezy do podfastrygowania pod tren.

Oprócz różnych mniej lub więcej ozdobnych plisowanych albo fałdowanych równych falban wszytych w listewkę i przyfastrygowanych od spodu do sukni, podajemy na ryc. 27 nowy rodzaj balejez służących pod suknie z trenami. Takowe składają się z prostej, 37 cent. szerokiéj falbany, zakończonej 4 cent. szerokim obrębem, oszytym gładko koronką, w górze zmarszczonej lub zfałdowanej i w listewkę wszytej.



N. 36. Wachlarz ze szlakiem wyszytym łańcuszkiem ryc. 37.



N. 38. Wachlarz ozdobiony szlakiem wyszytym na tiulu.



N. 39. Paletocik dla dziecka. Patrz ryc. 40.



N. 37. Szlak do wachlarza ryc. 36.



N. 40. Paletocik dla małego dziecka. Patrz r. 39.

Opis do N-ru 8.

N. 2 — 4. Postumenciki do doniczek z robionemi kwiatami.

N. 2 — 3. Postumencik z trzciny lakierowanej ozdobionej lambrekinami.

Jest z czarno lakierowanej trzciny ozdobiony lambrekinami z białego sukna, wyszytemi kolorowym sznureczkiem szydełkowym z oczek pow. odrobionych z włóczki crewel. Rycina 2 przedstawia w naturalnej wielkości deseń na lambrekiny; kontury wyszyte są filozelą ściegiem łańauszkowym. Kwaściki po 4 cent. długie, ozdobione kuleczkami, wiązane z kolorowej włóczki przedzielają lambrekiny.

N. 4. Postumencik ozdobiony leśną mozajką.

Może być toczony z drzewa lub uklejony z grubej tektury; nóżki dodane są z małych szyszek, mocno przytwierdzonych. U góry i u dołu dany szlak z mozajki, układany z szyszek i różnych nasion, 6 i 4 cent. szeroki, między szlakami w równych odstępach dane pręciki drewniane nie odarte z kory. Wykonanie mozajki już od lat kilku znane jest naszym czytelniczkom nie powtarzamy szczegółowego opisu.

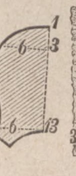
N 5—6. Żabot z haftowanym szlakiem.

Odrobiony jest z miękkiej jedwabnej materyi i zakończony szlakiem haftowanym na krepie jedwabnej. Model był z blado żółtej kiprowanej materyi (30 cent. długości, a 12 szerokości) ze szlakiem 6 cent. szerokim, odrobionym w guście tureckim, kolorowym jedwabiem i cieniutką nitką złotą, podług ryc. 6.

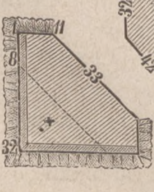
N. 7. Żabot z tiulu i koronki.

Potrzeba na niego kwadratowego kawałka tiulu d'esprit, 30 cent. długiego, oszytego w około koronką 6 cent. szeroką złożonego skośnie i zfałdowanego w ten sposób ażeby wszystkie cztery końce były widoczne, a z jednej strony wysuwał się pukiel, jak to widać na ryc. 7. Węzeł 10 cent. długi dodany z oddzielnego kawałka.

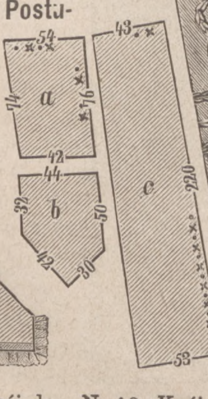
d. n.



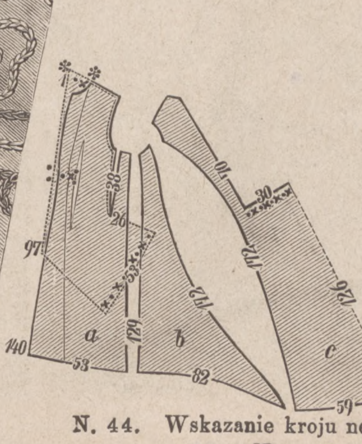
N. 41. Krój do ryc. 34.



N. 42. Krój do ryc. 6 w N. 7.



N. 43. Krój do ryc. 24.



N. 44. Wskazanie kroju negliża ryc. 29 w N-rze 7.



Pl. 422.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.